

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 21 lipca 1946 r.

Nr 29 (86)

JERZY BURZYŃSKI

Wyjaśniam nieporozumienia

Przed wszystkim jedno wyjaśnienie. Artykuł ten ująłem w formę artykułu dyskusyjnego, a punktem zaczepienia dla dyskusji jest dla mnie jeden fragment „Niecierpliwiej re-toryki” Stefana Żółkiewskiego z 25 numeru „Odrodzenia”. Od razu jednak pragnę za-strzec się, że to tylko punkt zaczepienia. Bo-wiem ani tezy ogólne, które formułuje Żółkiewski w swoim artykule, nie odnoszą się do handlu zagranicznego, ani ja z tymi teza-mi nie mam zamiaru polemizować, ani wresz-cie ten krótki fragment, w którym tok rozu-mowania autora potrąca o nasz handel zagra-niczny, nie jest najbardziej jaskrawym przy-kładem nieporozumień, w które się u nas często wpada, gdy się pisze czy — zwłaszcza — mówi o naszym handlu zagranicznym. Wy-brałem polemikę z tym właśnie fragmentem artykułu Żółkiewskiego dlatego, że przypad-kiem zbiegły się w nim dwie niezwykle u nas popularne tezy: że sprzedajemy za tanio i że gdyby nie eksport, to by „więcej u nas można było dostać”. Przed wszystkim jednak wy-brałem artykuł Żółkiewskiego, gdyż jest on wyrazem tego, jak nasza opinia publiczna nie jest zupełnie wprowadzona w zagadnie-nia gospodarczych stosunków Polski współ-czesnej ze światem. Bo jeżeli, jak wynika z ze-stawienia cyfr naszego handlu zagraniczne-go, 71 procent naszego importu stanowią artykuły konsumpcyjne i surowce o charakterze konsumpcyjnym, jeżeli znaczna część importu odbywa się na kredyt i jeżeli stosunek cen eksportowych do importowych jest korzyst-niejszy niż przed wojną, a równocześnie poseł na KRN i jeden z naszych czołowych publicy-stów jest przekonany, że u nas ogranicza się konsumpcję ze względu na handel zagraniczny, to chyba znaczy, że jakieś ogniwo kontaktu opinii publicznej z naszymi zagadnieniami go-spodarczymi zawodzi.

Pierwszą tezę formułuje Żółkiewski w zda-niu: „łatwo powiedzieć, że za tanio sprzedaje-my i dajemy się wyzyskiwać zagranicznemu klientowi”. Ze zdania tego i najbliższego kon-tekstu wynika, że autor łączy nasze ceny wewnętrzne, więc np. sumy, które dostają ko-palnie (w złotych) z cenami, które państwo dostaje od swojego kontrahenta zagranicznego (w dolarach, czy innej walucie międzyna-rodowej) i uważa, że ponieważ ceny wewnętrzne są niskie, więc ceny międzynarodowe muszą być również niskie.

Otóż nieporozumienie polega na tym, że ceny zagraniczne ustalane są w naszych umo-wach na podstawie współczesnych cen świa-towych i nie są związane z cenami wewnę-trznymi. Tak więc np. węgiel sprzedajemy do Szwecji w ramach umowy z 1945 roku po 8—9 (zależnie od jakości) dolarów za tonę, bo taka była jego cena światowa w momencie zawierania umowy — ten sam węgiel sprze-dajemy do ZSRR w ramach umowy z 1946 r. po 9—10 dolarów za tonę, bo jego cena świato-wa w tym czasie poszła w górę. Natomiast Centrala Zbytu Produktów Przemysłu Węglowego w jednym i drugim wypadku dostaje od państwa ok. 650 zł za tonę, bo tyle wynoszą jej koszty produkcji i transportu; gdyby wy-nosiły np. 2000 zł za tonę, to musiałaby dostawać 2000 — co na pewno nie skłoniłoby ani Szwedów, ani Rosjan do wykroczenia chociaż-by o jeden cent ponad światowe ceny w do-larach.

Ten sam system stosowany jest przy wszyst-kich innych towarach eksportowych i impor-towych. Tak więc wszystkie ceny zagraniczne ustala się wedle cen światowych. Co do cen wewnętrznych, to należy odróżnić towary im-portowane od eksportowanych. Ceny we-wnętrne towarów eksportowanych, czyli su-my, które płaci państwo poszczególnym Cen-tralom Przemysłowym, ustala się wedle ich kosztów produkcji. Suma wydana w ten spo-sób musi się państwu wrócić we wpływach, które otrzymuje ono (w złotych) od importe-rów za importowane przez nich towary. W ra-mach tej ogólnej sumy ustala się ceny po-szczególnych towarów importowanych, kieru-jąc się względami ogólnogospodarczymi.

Wiele jest powodów, dla których stosuje się u nas taki system; między innymi są to: nieustalony jeszcze w sposób ostateczny kurs naszej waluty, brak przystosowanej do obe-cnych warunków tabeli stawek celnych, ogólna dezorganizacja handlu międzynarodowego i in. Niewątpliwą zaletą tego systemu jest je-

go wielka elastyczność, która pomogła w szyb-kim uruchomieniu naszego aparatu produk-cyjnego. Jedno rzuca się w oczy: przed wojną światową cena węgla wynosiła 3 dolary — ceny światowe innych towarów wzrosły w cza-sie wojny przeciętnie 1½ raza, ceny światowe węgla wzrosły 3 razy, a węgiel stanowi 70% naszego eksportu. Stosowanie elastycznego sy-stemu wypłat wewnętrznych, z tytułu handlu zagranicznego, pozwala rozkładać zyski, osią-gane dzięki wyjątkowej koniunkturze wę-glowej, równomiernie na cały przemysł, ze szczególnym uwzględnieniem gałęzi ważnych z ogólnogospodarczego punktu widzenia.

Drugie nieporozumienie dotyczy rzekomego ograniczenia konsumpcji w związku z handlem zagranicznym, ograniczenia, które się zresztą według St. Żółkiewskiego oplać, bo zapewnia dobrobyt w przyszłości. W szczególności pisze Żółkiewski, że „źródłem wątpliwości oby-wateli jest m. in. fakt położenia większego nacisku na zorganizowanie eksportu, niż na zaspoko-kojenie rynku wewnętrznego” i wyjaśnia, że jednak taka polityka jest słuszną, gdyż „wszystkie kraje zdewastowane przez wojnę lub okupację odejmują sobie od ust, niedosta-tecznie zaopatrują rynek wewnętrzny, byle móc wywozić. Bo szybko zorganizowany wy-wóz, to źródło dobrobytu przyszłości” (podkreślenie moje).

Otóż obawiam się, że takie sformułowanie zaciemnia obraz naszego handlu zagranicz-nego. Nie chcę oczywiście polemizować z samą tezą Żółkiewskiego, że w pewnych okolicz-nościach opłacałoby się eksportować na kredyt, lub eksportować, mimo że towary eksporto-wane byłyby nawet bardziej potrzebne na ryn-ku wewnętrznym, niż te towary, które dosta-jemy w zamian i że nieraz dla zdobycia przy-szłego rynku zbytu rzeczywiście w ten sposób się postępuje. Nieporozumienie polega na tym, że jak dotąd udało nam się tego uniknąć; wszystko wskazuje na to, że unikniemy tego i w przyszłości.

Dlaczego właśnie na tle naszego handlu za-granicznego powstaje tyle i tak dziwnych nieporozumień? Niewątpliwie główną winę ponosi tutaj okoliczność, słusznie zauważona przez Rojewskiego w którymś jego artykule w „Kuźnicy” — formalny i niedbały sposób, w jaki się u nas traktuje propagandę, czy, jak w tym wypadku, raczej informację.

Od pewnego czasu zaczęły się np. ukazywać w naszej prasie krótkie komunikaty, prawdo-podobnie zamieszczane przez Ministerstwo Żegluga i Handlu Zagranicznego, o stanie wy-konania naszych umów handlowych. Są one jednak zredagowane w sposób bardzo nie-czytelny — bo jak ma zrozumieć przeciętny czytelnik np. wiadomość, że plan eksportu jakiegoś towaru do jakiegoś państwa wykona-liśmy w 102%? Czy się z tego cieszyć, czy martwić, zwłaszcza, jeżeli umowa jest kom-pensacyjna?

Albo druga notatka, którą kilka dni temu znalazłem w „Rzeczpospolitej” pod tryumfal-nym tytułem „Pierwszy transport celulozy przyszedł do Polski” i która donosiła, że do Szczecina przybył ze Szwecji statek z ce-lulozą. Otóż celulozę sprowadzamy już od ro-ku i to w dość poważnych ilościach; gdyby nie import celulozy, nie byłoby papieru, a gdyby nie było papieru, to nie ukazywałaby się „Rzeczpospolita” — sens zamieszczenia no-tatki leżał widocznie w tym, że to był pierw-szy statek, który zawinął do Szczecina z im-portem do Polski. Niewątpliwie prasa winna informować czytelnika o tym, co się w Polsce dzieje w jakiś bardziej odpowiedzialny sposób. Na tle bowiem istniejącej dezorientacji pewne koła, które usiłują wmówić w społeczeństwo, że powodem niskiego standardu życiowego w Polsce nie jest zniszczenie wojenne, ale Rząd, mogą spokojnie szerzyć pogłoski o ogra-niczeniu naszej konsumpcji w związku z han-dlem zagranicznym, chociaż wystarczyłoby periodyczne publikowanie rzeczowych danych o naszym handlu zagranicznym, aby wszelkim takim pogłoskom położyć koniec.

Stan faktyczny żadnych specjalnych wątpli-wości nie nasuwa. Żeby to wykazać, postara-my się tutaj zebrać publikowane już zresztą w różnych miejscach i okolicznościach dane o naszym dotychczasowym handlu zagra-nicznym.

Zacniemy od umów, które następują

najmniej wątpliwości. Więc przede wszystkim pierwsza nasza umowa handlowa z ZSRR z 20. X. 1944 r. Umowa jest już z obu stron prawie całkowicie wykonana. Nasz eksport stanowił w 43% węgiel, w 35% żelazo, w 8% cynk i blacha cynkowa, w 6% cement, w 2% ołów i w 5% cukier. Nasz import w 50% ma-ka, w 12% mydło, w 13% nafta, poza tym sa-mochody, herbata, sól, zapalki, bawełna i ropa siłnikowa. Jak widać z zestawienia, import miał prawie wyłącznie charakter konsumpcyjny — samochody służyły głównie do przewo-żenia żywności w ramach akcji aprowizacyjnej. Zaznaczyć przy tym należy, że import z ZSRR znacznie wyprzedzał w czasie eksport, tak, że nie tylko nie ma tu mowy o jakimś ograniczeniu konsumpcji w związku z handlem zagranicznym, ale przeciwnie, faktycznie ko-rzystaliśmy w ZSRR z kredytu i konsumowa-liśmy na wyrost. Prawie jedynym artykułem, który wyeksportowaliśmy w pierwszym, lu-belskim okresie był cukier i to był jedyny artykuł, który mogliśmy wtedy eksportować. Żeby uniknąć wszelkich nieporozumień za-znaczą, że idzie tu o ilość 1500 ton. Poza tym w tym pierwszym okresie dostaliśmy darmo, tytułem pomocy dla najbardziej głodującej ludności, 36 000 ton maki, 4000 ton kaszy i 20 000 pudełek konserw. Dla każdego chyba jest jasne, że żadnego ograniczenia konsumpcji w związku z tą umową w Polsce nie było!).

Druga umowa, również nie następująca żadnych wątpliwości, to umowa z Danią z 1945 r. Do 1. VII. br. importowaliśmy stamtąd towarów za około 1500 tys. dolarów, w tym masła za 820 tys. dol., mięsa za 410 tys. dol., ryb za 160 tys. dol., nasion za około 100 tys. dol. i insuliny za około 10 tysięcy dolarów. Poza tym dokonaliśmy zamówień na ponad 800 tys. dol., w tym największe na około 600 tys. dol. — to tłuszcze i mięso. To-wary te bieżąco są zakupywane w Danii i w najbliższym czasie przyjdą do Polski. Im-port pokrywamy węglem, poza tym korzystamy z kredytu. Jak widzimy, znowu o ograni-czeniu konsumpcji nie ma mowy.

Trzecia umowa, to umowa z Norwegią z 1945 r. Do 1. VII. br. importowaliśmy z Norwegii towarów za około 1100 tys. dolarów — import stanowi 100 tys. beczek tranu, za po-zostałą sumę śledzie. Import śledzi z Norwe-gii pozwolił nam w pewnym okresie zastąpić w zaopatrzeniu ludności mięso śledziami i ograniczyć ubój bydła. Poza tym dokona-liśmy tam zamówień na olej rybny za około 200 tys. dol. W najbliższym okresie przyjdzie on do Polski. Import i tutaj pokrywamy na razie wyłącznie eksportem węgla — poza tym w Norwegii również korzystamy z kredytu.

Czwarta umowa, to umowa z ZSRR z 7 lip-ca 1945 r. Umowa wymaga jeszcze drobnych uzupełnień w imporcie i eksporcie, ale wła-ściwie można ją traktować jako już wykonaną. W jej ramach eksportowaliśmy węgla za 40 milionów dolarów, żelaza za 4800 tys. dol., wyrobów tekstylnych za 9200 tys. dol., obu-wia wojskowego za około 500 tys. dol., cynku za około 500 tys. dol., cementu za około 500 tys. dol., szkła za około 600 tys. dol., chemika-liów za około 500 tys. dol., poza tym różne artykuły przemysłowe za drobne sumy. W im-portcie mamy zbyt dużo artykułów, by je wszystkie wymienić, podzielimy je więc na grupy. W pierwszej umieścimy artykuły bez-pośredniej konsumpcji jak mąka, zboże, tytoń, medykamenty itd., których importowaliśmy za 23 miliony dol. W drugiej grupie znaj-dą się surowce o konsumpcyjnym charakterze, więc bawełna, wełna, len i skóra, których importowaliśmy za około 15 500 tys. dol. Co się tyczy tych artykułów, to ponieważ stosu-nek między ceną światową wyrobów tekstyl-nych, a ceną surowców potrzebnych do ich produkcji wynosi 3:1, prawdopodobnie 1% im-portowanych surowców tekstylnych wyeks-portowaliśmy w postaci obrotu uszlachetnia-jącego, reszta zaś poszła na rynek wewnętr-ny. Następną grupę stanowią będąc inne surow-ce i półfabrykaty — tych importowaliśmy na

około 11 500 tys. dol. Najpoważniejszą pozy-cję stanowią tutaj rudy żelaza, poza tym wcho-dzą tu inne metale, kauczuk, apatyty itd. Co się tyczy rud żelaza, to częściowo mamy tu do czynienia z obrotem uszlachetniającym, gdyż żelazo i stal zajmują poważną pozycję w naszym eksporcie do ZSRR i w ramach tej umowy i w ramach umowy z 1944 r., która, jeżeli idzie o polski eksport żelaza, była wy-konywana równocześnie z umową z 1945 r. Ostatnią wreszcie grupę będą stanowiły sa-mochody, samochody i traktory, których im-portowaliśmy na 8 milionów dol., oraz benzy-na, oliwa i smary do maszyn na około 1,5 mil. dol. Zarówno rudy jak i tę ostatnią grupę należy niewątpliwie zakwalifikować jako im-port o charakterze inwestycyjnym — chciał-bym tylko zwrócić tu uwagę, że przy naszych trudnościach komunikacyjnych zarówno im-portowany samochód jak i wyprodukowana na bazie importowanej rudy lokomotywa, z których pomocą rozwieziemy złowione na wybrzeżu ryby po całym kraju i zapobiegniemy ograniczeniu połowów, czy umożliwimy rozwieszenie gromadzącego się na łąkach wę-gla w czasie mrozów i przez to kilkakrotnie zwiększymy jego wartość użytkową — mogą mieć dla zaspokojenia bieżących potrzeb lud-ności większą doniosłość, niż import towarów konsumpcyjnych.

Wreszcie ostatnia umowa, to umowa ze Szwecją z 1945 r. Do Szwecji wyeksportowa-liśmy na 1. VII. br. towarów o ogólnej wartości około 7,8 mil. dol. — poza tym wykorzysta-liśmy tam bądź na import, bądź na zadatki i zamówienia około 10 mil. dol. kredytu. Wę-gla eksportowaliśmy na ok. 6,8 mil. dol., cynku na około 720 tysięcy — reszta to olej kreo-zotowy, soda i maszyny. Towary impor-towane lub zamówione musimy znowu podzie-lić na grupy ze względu na ich zbyt wielką różnorodność. Towarów bezpośrednio konsumcyj-nych i była importowaliśmy za około 1500 tys. dol. — największą pozycję stanowią tu śledzie. Poza tym zamówionych śledzi mamy za około 1100 tys. dol. Surowców i półfabry-katów o charakterze konsumpcyjnym, takich jak celuloza, do wyrobu towarów tekstylnych i papieru, jak garbniki dla przemysłu skórza-nego, importowaliśmy za około 3100 tys. dol. Innych surowców i półfabrykatów importo-waliśmy lub zamówiliśmy na około 5100 tys. dol. — ponad 95% stanowią tu rudy żelaza. Narzędzi i instrumentów przywieźliśmy lub zamówiliśmy za około 2,5 mil. dol. i za nieco mniejszą sumę maszyn. Te pozycje nie obciążają już naszej wewnętrznej konsumpcji, lecz kredyt. Ale i tutaj znajdują się takie urzą-dzenia jak węglarki, urządzenia portowe, filce, siatki do produkcji papieru, telefony, urządzenia telegraficzne i urządzenia kolejo-we — więc znowu dobra inwestycyjne, któ-rych import odbił się natychmiast w bardzo silnym stopniu na konsumpcji. Poza tym ostat-nio zamówiliśmy tam 5 tys. sztuk koni, któ-rych pierwsze transporty już przysły i które winny być Polsce dostarczone w całości w ciągu najbliższych miesięcy.

Zasadniczo nasz cały handel zagraniczny do 1. VII. br. odbywał się w ramach tych pię-ciu umów. Obroty handlowe w ramach umów ze Szwajcarią, z Węgrami, z radziecką strefą okupacyjną w Niemczech i w ramach umowy z ZSRR na 1946 rok są na razie niewielkie. Największą pozycję wśród nich stanowi im-port nawozów potasowych na około 900 tys. dol. z radzieckiej strefy okupacyjnej w Niem-czech — jest to znowu towar, który bezpo-srednio wpłynie na najbliższe zbiory w Polsce.

Tak więc, jeżeli weźmiemy cały nasz han-del zagraniczny sumarycznie, to dochodzimy do następujących wniosków:

1) ogólna wartość towarów importowanych do Polski jest większa, niż ogólna wartość to-warów eksportowanych z Polski, gdyż korzy-stamy u naszych kontrahentów z kredytu (na-wiasem dodam, że we wchodzącej dopiero w życie umowie ze Szwajcarią również mamy zagwarantowany kredyt na około 10 mil. dol., a w umowie z Bułgarią na około 500 tys. dol.) — z tego też powodu import stale wyprzedza u nas eksport;

2) jeżeli przyjmiemy ogólną wartość umowy z ZSRR z 1944 r. na około 11 mil. dol. według obecnych cen światowych (suma ta jest obli-czona w sposób dość pośredni, ale wydaje się,

!) Przy omawianiu umowy z 1944 r. nie podaje sum w dolarach, tak jak to robię przy omawianiu innych umów, gdyż o ile ceny w innych umowach zostały określone w walutach, mających stały stosunek do dolara, jak korony, czy złote w zlocie, o tyle ceny w tej pierwszej umowie zostały ustalone w złotych, na poziomie obowiązujących w Lublinie w jesieni 1944 cen sztywnych, a więc w jednostce monetarnej absolutnie na dolara nieprzetłumaczalnej.

że mniej więcej odpowiada rzeczywistości), to okaże się, że na ogólną wartość naszego importu około 85 mil. dol. — prawie 60,5 mil., tj. około 71%, stanowią artykuły konsumcyjne lub surowce tekstylne, około 15,5 mil., tj. około 18%, surowce i półfabrykaty, w tym przede wszystkim ruda i około 9 mil., tj. około 11% urządzenia, narzędzia, instrumenty i maszyny. 1,2% naszego importu na I. VII. był to import na kredyt, 61% było pokryte eksportem węgla, 9% eksportem żelaza, reszta eksportem cynku, cementu i innych surowców i wyrobów przemysłowych.

Pozostaje do rozważenia kwestia, czy to dobrze, że import nasz w tak dużym procencie stanowiły artykuły konsumcyjne. Niewątpliwie bowiem słuszną jest teza Żółkiewskiego, że i państwo i prywatny gospodarz bogaci się, jeżeli ogranicza swą bieżącą konsumpcję i kapitalizuje. Niewątpliwą również jest rzeczą, że kapitalizacja przynosi dobrobyt dopiero w przyszłości. Ale te obydwie tezy są słuszne, jeżeli gospodarka czy to państwa,

czy to prywatnego przedsiębiorcy znajduje się w warunkach mniej więcej normalnych. Gdy natomiast fabrykantowi zerwie się w fabryce pas transmisyjny, to nie myśli on ani o konsumpcji, ani o rozbudowie przedsiębiorstwa, lecz przede wszystkim kupuje nowy pas, i ten wydatek opłaca się mu dopiero nie za kilka lat, ale natychmiast, bo szkody, które by poniósł w produkcji przez jeden dzień, mogłyby być większe, niż wydatek na pas.

Przez Polskę przeszła wojna i zerwała cały szereg takich pasów transmisyjnych — Ziemię Zachodnią odzyskaliśmy również z porwanymi pasami. A takim zerwanym pasem transmisyjnym może być zarówno brak pociągu, który by dowiózł węgiel do fabryki, jak i brak żywności, bez której górnicy tego węgla nie wydobydą. Naszym najbliższym zadaniem jest nie budowa nowych fabryk, lecz zharmonizowane uruchomienie całego istniejącego i częściowo zniszczonego aparatu gospodarczego, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych. Te inwestycje, które my robimy, to

nie normalne inwestycje — to usuwanie wytworzonych przez wojnę i przyłączenie Ziemi Zachodnich „wąskich gardeł”. Dopóki nie mieliśmy uruchomionych dźwigów w portach, olbrzymie kapitały inwestowane tam leżały bezczynnie i bezużytecznie, a np. transporty UNRRA (że wezmę tylko ten drobny przykład) szły przez Rumunię i albo do nas nie docierały, albo, jeżeli docierały, to w stanie bardzo uszczuplonym. Dźwigi w portach to inwestycja, ale inwestycja, która nam się prawdopodobnie już „zamortyzowała” przez sam fakt, że mogliśmy transporty UNRRA przyjmować w swoich własnych portach. Tak samo jeżeli wysyłamy osadnika na Zachód i sprowadzimy dla niego konia, to wartość konia wróci nam się nie w ciągu kilku lat, ale w ciągu jednego roku, bo bez konia nie mógłby on swego kilkukrotnego gospodarstwa w ogóle obsiać. A jeżeli jest brak górników i kopalnie nie są w pełni wykorzystywane, to nie będziemy czekać, aż osadnik zbierze za rok zboże, ale sprowadzimy je zza granicy,

a nawet sprowadzimy zza granicy mięso i masło i damy je górnikowi, bez przeciętna dzienna wydajność górnika już teraz wynosi 1 tonę węgla na dobę, tj. 10 dolarów dziennie. I jeżeli dzięki importowi potrafimy o rok wcześniej przeciągnąć 10 tysięcy młodych ludzi od szabru, spekulacji i wypraw na Zachód — do kopalni, to bez zwiększenia zaopatrzenia kapitałowego kopalń nasz dochód społeczny powiększy się o 25 mil. dolarów.

Tak więc zarówno nasz program handlu zagranicznego, jak i nasz ogólny program gospodarczy musi polegać na obecnym etapie na dążeniu do pełnego i harmonijnego wyzyskiwania istniejącego w Polsce kapitału drogą rozszerzania „wąskich gardeł” — bez względu na to, czy takie rozszerzanie będzie polegało na imporcie towarów konsumcyjnych, czy inwestycyjnych — a dopiero na etapie następnym możemy przejść do rozbudowy, drogą importu naszych urządzeń kapitałowych.

Jerzy Burzyński

FRANCISZEK GIL

Ranione lato

Nie mówię o jesieni. W jesieni miasto stało do jakiegoś chorego wyścigu. Rwane transportami, splecione w uczuciach, poczęło żyć na oślep. Kelnerki, które wieczorem podawały nam kolacje, rano siedziały w pociągach ewakuacyjnych na Gdańsk. Dziewczęta z Kaukazu zostawiały rzeczy na dworcu i szły do szkoły. Wieczorem wracały na stację, uczyły się i rano znów inna zostawała pilnować rzeczy. „Kak nibud” ustroił się... — odpowiadały. W oknach zamiast kwiatów ukazywały się materace z kartkami — „do sprzedania”. Ci, co nie chcieli zostać, musieli żegnać tych, których nie chcieli opuścić. Ci, co musieli zostać, z utajoną zawiścią serca wciągali tych, którzy chcieli wyjeżdżać, w krąg dziwnej niemocy, w której nie ma ani wyjazdu, ani pozostania. Jaką taką równowagę działania odzyskiwało miasto na dwóch tylko drogach: do komisji ewakuacyjnej na Dąbrowskiego i na rampę na Czerniowieckim.

Ale przedtem mieliśmy przecież przedziwne lato, które wszyscy chcieli przeżyć w mieście. Wielu ludzi odjeżdżało tego lata; większość jednak spłota wokół niego ręce, chciała je mieć do końca jako wspólną całość. Wiedzieliśmy, że w jesieni nasze splecione teraz w uścisku ręce pogubią się, że to wszystko się rozpadnie. A jednak bez przerwy zgarnialiśmy na kupkę piasek, choć wiatr historii wywiewał nam go nieustannie spod rąk.

Już wtedy najtrudniejszym smutkiem, najcichszą ułomnością stała się niemożność utrzymania jakiegokolwiek całości, niemożność uczynienia naszym już wypielegnowanym i dopiero rodzącym się przyjaźniom i sympatiom jakiegokolwiek obietnicy na przyszłość. Jakby umyślnie stało się to wówczas, gdy serca nasze, słończone na wąskiej przestrzeni obronnej między ulicami starego miasta i brzegiem rampy, pragnęły wiele otrzymać i mogły wiele dać. Stawały przed niespotykanymi w życiu, zdumiewającymi okazjami, ale my, spleceni przez dziwną niemoc, nie mogliśmy postąpić ani kroku naprzód, nie mogliśmy nikomu ani niczemu proponować przyszłości. Zzerający nas nieustannie niepokój drogi do pociągu kazał nam zostawić w tyle tych, co nie mogli za nami zdążyć. Wszystko, co się działo lub miało się dziać tylko mogło obok niej, choćby najbardziej pożądane, traciło dla nas wszelki sens.

Czasem próbowaliśmy się oszukiwać, udawać, że nie jesteśmy ranieni. Ożywialiśmy się jak rekonwalescenci i markując zdrowie, osiągalśmy rekordową liczbę poznań. Zapominaliśmy, że czasy nasze już od dawna toczą się według różnych jednostek i dziwiliśmy się, gdy ręce napotykały na próżnię, a serca przybływały za wcześniej lub za późno. Ślepo i coraz szybciej stawialiśmy na wszystkie przelotne złudzenia i okazje, na gwałt chcieliśmy posiadać choć trochę spokoju w równych ramionach wspólnego toru. Nie rozumieliśmy jeszcze wówczas, że wszystkie nasze bilety, bilety pasażerów ogromnego ewakuacyjnego miasta, są na inne stacje.

*

Przygodzie najtrudniej darować złudzenia. Dopiero tu, „po drugiej stronie”, widzę, że nie spotkamy się już razem nigdy, że nie ma żadnego sposobu, żeby jeszcze raz zebrać piąty wagon z „osiemnastego” na Łódź. A skoro nie można już ich więcej spotkać, to jakżeż ludzi i imieniny w piątym wagonie pamiętać inaczej niż przygodę?

Wówczas rzadko jeszcze bywaliśmy na rampie. Jak absencja była nieprzebaczalnym wyrzutem serca, tak przybycie do transportu stawało się poćkreśleniem związku, publiczną manifestacją uczucia. Dopóki nie odjeżdżali nasi najbliżsi, szliśmy tam tylko w wyjątkowych wypadkach, szanowaliśmy się jak kompania honorowa. Tego ewakuacyjnego roku i tak mieliśmy za sobą ogromny upust serca. Była to druga połowa lipca. Lato białymi upałami wydarło się z chmur, prażyło bety i ludzi. Psy przysiadły na brzegach wago-

nów i robiąc gwałtownie bokami, ziały na cały język. Przyciskając do piersi czeresnie, szedłem przez puste, wymiecione posuchą miasto. Nie przypuszczałem nigdy, że nie pojedziemy razem. Byłem tak nieprzygotowany na to, że zostaje, że nawet nie umiałem jej wytłumaczyć, że muszę zostać. W ostatniej chwili, z kartą ewakuacyjną w ręku, stchórzyłem. Brakło mi odwagi wyjechać, ale i nie śmiałem jeszcze puścić jej samej. Do ostatniego gwizdka łudziłem siebie, że jeszcze pewno zdąży odbić się do transportu. W najcichszej, sobie tylko znanej ekspiacji za obłędny rozsadek „niezależnych spraw”, postanowiłem do końca salutować na rampie jej odjazd. Pociąg wędrował przez dworce i zwrotnice na drugą stronę miasta, a ja z łopocącym sztandarem serca wiernie kroczyłem za nim, nieustanną obecnością w pożegnaniu podkreślając, jak bardzo muszę zostać.

Przechodziłem wówczas okres najdziwniejszych powikłań mojej słabości. W najtrudniejszym pożegnaniu, w którym stoczyłem tak ciężką walkę o miasto... zlekceważyłem je. Pobyt na rampie niósł gruntowne pocieszenie w chorobie, ożywiał, jak zerwanie w męczącej, beznadziejnej miłości. Uwalniał od przeszłości i nie wiązał z przyszłością. Proponował nowych ludzi, przedstawiał i podsuwał nieznane w mieście uczucia. Dobrą czy złą, rampa była jednak metą męczących wahań, startem w zmianę. Stosowała najsurowszą, ale najsensowniejszą terapię: jeden jedyny kierunek. Ustawiała tyłem do kotliny miejskiej, twarzą na zachód. Ogłuszała zgiełkiem, nie dawała czasu odwrócić się, pożegnać. Wciągała w tęsknotę wszystkich stacji, w tęsknotę za nadejściem pociągu, w pogoń za odjazdem. Popychała nieodwołalnie naprzód, jak stacje ku peronowi.

Wstawialiśmy z porzuconych podkładów artystycznych późno. Dzień rozpoczynała zaraz po umyciu Zwolińska, matka trajkotki. Brzydka, z zaczerwienionym ciągle nosem, każdym ruchem odgrywała wobec wszystkich pasażerów wagonu rolę jednej z tych kobiet, co nigdy się nie opuszczają. Siekierką łupała trzaski, a gburliwy, podobny do starego, wysłużonego sierżanta, Zwoliński, zlaził na ten jedyny moment z dachu, kładł na czterech ceglach blachę i niecił płomień. Dym pełzał do wagonu, to znów pióropuszem kłębił się wwyż, siedł na „Kraków”, który zwoził się naprzeciw. Wozy i auta wjeżdżały wolno w środek zdeptanej rampy, między piecyki, skrzynie, łóżka, miednice, wózki, krzesła, rozłożone materace i rozwieszone pieluchy. Rzeżąc cicho motorami, przyczajone w najniższych biegach, pełzały dalej i dalej, rozsuwały zderzakami paki i worki, prycze, ludzi, płoszyły przykucniętych grajków w karty. Rampa gęstniała, „architektoniczne” granice między kuframi poszczególnych rodzin zacierały się — rosła, pęczniała skrzyniami, rurami piecyków, walizkami i betami. W południe kobiety brały dzieci i szły w przemysłnie zacienione płachtami kąty, w budy podparte klockami i żerdkami albo wprost piekły się na słońcu. Nieliczne pozostałe na placu mlaskały pokrywami parujących, na węgiel szczylnych garnków; wzdłuż całej rampy gotowały się na przemian dwa dania: rosół i kartofle.

Zdawało się, że skrzynie i bety rodzin wyjeżdżających na Kraków i Śląsk zawała całą rampę, że zakryją nas zupełnie: za pierwszym wyrastał drugi i trzeci rząd równoległych zwalisk i spiętrzeń, zwałę i zatarasowywał autem, furmankom, wózkom drogę na zachód. W tył szoferzy leżeli jak ślimaki, wozy wycofywały się spomiędzy gratów skurczonych, skulonych, skracających niebezpieczne kierunki, aż wreszcie przeprowadzone dziesiątkami oczu koła kończyły zonglerkę, zmieniały biegi i za magazynami wydostawały się na wolność.

Ludzi przybływało. Przyjeżdżali prawie wprost z Dąbrowskiego, bo krakowski trans-

port łączono z „piętnastym“, a łódzki „osiemnasty“ z „trzynastym“. Krzykliwi, ustawicznie podenerwowani urzędnicy transportowi dopychali nocą niepełne wagony; w świetle laterek i księżycy wyrzucano jakieś szafy i niektóre wagony przeładowywały się na nowo, żeby pomieścić dodatkowo przybyłych.

W końcu i urzędnicy i repatrianci zeszli z głównego gościńca, udeptanego wozami i stopami, do wagonów, w boczne uliczki skrzyń, pak i kufrów. Rampa podzieliła się na czuwających i śpiących, wagony na sumiennie jak ul i na ciche jak nocą spod lasu wyrwane chaty. Noc była ciepła, tak ciepła, że matki nie mogły dowołać się swoich synów i córek. Księżyc pełził piaszczystą ulicą, środkiem metrowych zwalisk daleko w tory wsuniętej rampy. Nie śpiąc zapadali ludzie nieustannie w twardy, niewygodny sen, buzdlił się, kładli znów na worki i plecaki, bronili się chwilę drzemce i znów dźwigali, szli przed wagon na papierosa, na zwiady. Wychodzili aż na przód transportu pytać o odjazd, o dispeczera, nagabywali każdego, kto tylko mógł i chciał coś powiedzieć. Potem znów skręcali w boczne uliczki i wracali na swoje placiki przed wagonami. Na odgłos kroków obce, skurczone w zwaliskach ciała zrywały się niespokojnie. W nieodstępnym, podświadomym strachu o rzeczy, ręce sięgały na oślep ku walizkom, chwyciły za płaszcze, silniej zaciskały w kieszeniach dokumenty i pieniądze.

Tak kawęczyli do rana.

BIEDNI, JEDYNI GOŚCIE

Ci, którymi „dobito” nasz wagon, byli to przeważnie ludzie niemiejscowi, wracający pojedynczo z Rosji. Dwa małżeństwa i młody, ruchliwy śpiewak. Z bagażem swoim dostatnio mieścili się w użyzionych kątach i w nocy niewielu potrzebowali miejsca pod głowę. Biedniejsi o kufry, byli bez porównania bogatsi o mądry uśmiech serca, o szeroki, wspaniały gest dla życia. Młody chłopak z neserem i tuszonką wyłaził na dach i, rozebrawszy się do pasa, na przemian spał i czytał książkę. W południe nawet baby, najbardziej niezadowolone z „obcych”, uspokoiły się, przestały ciągnąć i szemrać na boki, że „takie chłopaczysko może co machnąć i pójść dalej do innego wagonu”. Nic nie zginęło i pod wieczór samotny chłopiec awansował na „jakiegoś sierotę”.

O tej ściszonej porze wszyscy siadali półkolem w drzwiach wagonu, co był jak pogodzony, spokojny dom. Zgoda miała wszelkie znamiona wyniosłości doświadczonego różnie życia. Była tak powściągliwie poprzegradzana oddzielnymi światami zebranych tu ludzi jak wagon milczeniem o tym, czym byli i jak żyli przed jego progami. Krawiec Kahane wracał z Kamczatki i Taszkientu, ale jego przejęcia nie były ważniejsze od tutejszych przygód teletechnika Zembronia jadącego do Bydgoszczy. Milczał Pazdoł, który przesmyknał się z żoną z Odessy. Zapatulona w chustkę kobieta żuła nieustannie uśmiech z pszenicą i uśmiech jej nie gasł nigdy w kacie wagonu. Mąż odzywał się rzadko, zwykle tylko wtedy, gdy dostrzegł czyjś wzrok na jej stopach. Usprawdliwiał się wówczas dobrotnie: „Wezmę ciebie, żono, w Krasnymstawie na postronek i wypławie w rzyce jak konika... te nóżki śliczne twoje... można ta posiać na nich wszystkich...”

Wszyscy byli równi. I ci, co ujechali już osiem tysięcy kilometrów i ci, co dopiero przed chwilą wsiadli do wagonu. Rampa równała w dziwny sposób. Żaden z tych, co wracali po latach i nie wiedzieli, gdzie szukać domu, nie był ważniejszy od tych, którzy stracili go przed chwilą.

Transporty nie odjeżdżały. Sześć „łódzkich” wagonów stało bezradnie u brzegu rampy, jakby nie chcąc wyruszać tego wieczoru w drogę. Ale najbardziej niespodziewanie potoczył się wieczór, gdy Pazdoł postawił za Czechą drugi litr wódki. Gdzieś dwa

dni temu przypadły także jego imieniny. O „piątka” długo była dumna z tego wieczoru! W niejednym wagonie musiały na rampie przypaść czyjeś imieniny. Ale solenizanci przemilczali je małodusznie, przetasowywali nawet podstępnie daty, jakby nie zdawali sobie sprawy, że zebrali się u nich jedyni goście, którzy już nigdy nie zjadą się na ich imieninach, dla których właśnie teraz, jedyny raz w życiu, mogli być solenizantami. Tylko nasz wagon, tylko nasz gest dorosłej wielkości chwili! Tylko ludzie bez „rzeczy” — Czecha, Pazdoł, Kahane entuzjastycznie poparli tę przygodę. Oni jedni wiedzieli, że te — spotkane w wagonie imieniny raz w życiu spotkane gościa — warto uświetnić, warto zapisać ucztą.

Kieliszków było nie więcej niż pięć. Zwolińska nalała do rynki wody i plukała po każdej kolejce. Kolejki krążyły partiami wzdłuż i w górę, amfiteatralnie, na workach, pakach, wyrkach i leżyskach pobudowanego kręgu gości. Wagon pił na zdrowie i za szczególną drogę. Pierwsze „sto lat” zwabiło z sąsiedztwa repatriantów z Kaukazu, ze Srebrnej Azji. „Sto lat” po polsku! Chłopcy podsuwali się w górę na wyrka ku ciepłym dziewczętom. Donosili im wódkę i kanapki, szepcili ciągle coś nowego i wciąż na nowo przysuwali się do nich nad głowami śmiesznie uroczystych matek. Stary Zwoliński pił na dachu. Żona wychylała rękę jak gałąź i podawała mu wódkę na górę. Czecha nie mogła się powstrzymać — plakała. Łzy padały do pudełka „kazbeków”, na wprost Dziadzi z Zamkowej, który ze starszeństwa rozpoczął imieniny długą przemową „za zdrowie pani”. Gimnazjalistka, która od przyjścia młodego śpiewaka coraz rzadziej bywała w wagonie, wierciła się niespokojnie, przechylała ku niemu za plecami „gości” daleko w lewo i po każdym kieliszku, jeszcze mocniej, z jeszcze większym wyrzutem dziecięcej słodyczy prosiła przez ramię matki — „dla mnie, dla mnie... nie zaśpiewa pan Mia bella Napoli?... Ja proszę... ja pana proszę...” Oparty o drzwi wagonu chłopiec śpiewał dla nas i dla niej aż do późnego zmęczenia. Wtedy włoskie arie ustąpiły znowu zawodzeniu Gruzji, Gruzin winał, Gruzin modlił się, Gruzin kłął na targu. Scena była wazutka i wciągnięta w połowie imienia do wagonu, po czterech latach wracający z Nalczyka, aktor warszawski potykał się w śpiewnych figurach o nogi widzów. Wódka kładła jednych na miejscu w wagonie, innych z tyłu za torem na wysokiej szkarpie, pojedynczo i parami.

W głębi nocy przetoczono na krakowską stronę wagony. Lewy brzeg rampy, dudniąc do późna, przetaczał wśród krzykliwego gwaru całą swoją asymetryczną, fantastyczną w nieregularności nadbudowę w ogromne jak stodoły wnętrza „czterdziestek” i „pięćdziesiątek”. Noc nasza była nietrzeźwa i nie mogliśmy się zerwać. Zamroczeni nie czuliśmy resztkę, że chodzi tu o naszych sąsiadów, o ich znajomych, o wiele dziewcząt, które przychodziły ich pożegnać, o wszystkich, którzy wieczorem po pracy przesiadywali z nimi na rampie. Iluż to z tych, co żegnali tamtych, odnajdywało ze zdziwieniem i nas! Iluż dawnych kolegów i koleżanek spotykaliśmy wśród nich, z jakąż nową, nieznaną w mieście czułością witaliśmy ich na rampie i jak razem próbowaliśmy doszukać się losu naszych znajomych. Czerpaliliśmy w niekończących się rozmowach przeszłość, uspokajali, że wracamy jeszcze do miasta i dzieliliśmy się planami, jak poczęstunkiem podróżnym.

Prawie równo ze świtem po tamtej stronie ucichło. Z jasnością wypłynął spod zwalisk, jak w gigantycznej wytwórni filmowej, szeroki, pusty szmat ziemi. Pięć długich jak lato dni przetoczyło się razem z transportem z rampy czerniowieckiej przez pierwszy, drugi i trzeci dworzec w ostatnią noc na Kleparów. Nie schodziłem nigdy dalej, niż na

plac po chleb i chereśnie. Odwykłem od miast i od ludzi w mieszkaniach. To, co zostawało za torami, zamieniało się coraz bardziej w towary mieszane, w codzienną potrzebę placu targowego.

Ostatni gwizdek wypadł w niedzielę, gdzie o dwunastej w południe Objęliśmy się. Spite przez chwilę w uścisku naszych rąk. Uderzone przez lokomotywę wagony zakolewały się, zgrzytnęły. Pociąg szarpnął i ruszył od razu szybko na Rawę Ruską. Ręce nadaremnie starały się powstrzymać uciekającą ziemię. Ostatnia próba połączenia naszych wagonów speliła na niczym. Zbliżone na rampie, jednym najwyższym w drodze przedzielone transportem, rozeszły się jak dwa bieguny, oddaliły o tyle, tyle wagonów jadących na Zachód, o ciepłą, kartkami — „do sprzedania” — i pożegnaniami szeleszczącą jesień...

Ulica Janowska wiedzie w dół, w głąb zamysłonego czasu pod atykami, u którego kresu wszystko poczyna się rwać... Wenecja północy jeszcze raz dumnie prostuje się na swoich wzgórzach: żegna słońce. Miasto schyla się ku skwerom i ogrodom po ciepłe jeszcze liście kasztanów: dziewczęta chowają je do książek. Rampa rozpala się ogniskami, rozpełza dymem po lorach. Deszcz siąpi po twarzach i ceratach. Ostatni wieczór w mieście jest zimny, mokry i przejmujący. Na skrzyżowaniu koło poczty reflektory auta chwytają dziewczynę w czerwonej pelerynie. Pusta ulica staje w czerwonych płomieniach, goreje i zachodzi szkarłatem. Na plac Mickiewicza wjeżdżają limuzyny. Światła unoszą z cokołu obelisk i poetę. Pomnik rośnie, olbrzymieje w rozszerzającym się sнопie i pada w ciemność jak skoszony żniwiarka. Zza firanek „Inturista” wychylają się w mrok rosyjskie melodie. Rozpiewany, płaski w górze okna saksofonista nachyla się rytmicznie nad orkiestrą i podpyływającymi pod podium ciałami. Znad któregoś stolika sala wysuwa na mgnienie kulę inwalidy. Drewno łukiem mija saksofon i pada w dół, w podniecone rosyjskie tango. Ludzie na rampie zbiegają, marnieją. Cierpko witają, trzaskają w tlejących gałęziach popielisk. Mały, przysadzisty tragarz pluje co chwila w papier i wyciera nim skrwawione, rozdarłe przez palęk ucho. Nie daje się przekonać, że należy się mniej bez ładu. „Zapłać mi tu, ja ci tu nie będę dyskusowa! k...mać! niech jadę!” Ślina kapie razem z krwią na kołnier, na rozbrane royale.

Tamten świat ucieka pocięty ulicami i wiciami miasta, galopuje w beładnych obrazach. Grzebiemy go na oślep rękami przewalającymi paki, razem z ostatnimi, o świecie zapamiętanymi, tlejącymi latarniami. Pod zgitymi w kabłąk, przysadzonymi do tobołów tułowiami gaśnie słońce świecące miastu. Deszcz znów pokrapuje po szmacie papieru, którą numerowanymi prośbami prostuje na ścianie wagonu. Pozdrowienia bolą. Późnym wieczorem ktoś bliski odnosi do miasta strzępy naszych parunastu lat, niespokojne, beładne resztki ostatnich dni. Rampa nie pośrodku serca i nie podobna zdążyć nawet ostatniego dnia, nie ma mowy, by wszystko przenieść. Bliszy przynoszą na dworzec zupę i nie odmawiają żegnany niczego. Prosimy ich, żeby załatwili „wszystko” zaraz w poniedziałek, dostali najbliższym transportem. Żeby zarówno miejsce po nas.

GRANICA

W samym wnętrzu nocy pociąg drgnął. Wstrząsnął się i parowóz pociągnął nas w gęstwinę torów i zwrotnic. Pojechaliśmy gdzieś daleko w przód potem do tyłu, potem jeszcze raz naprzód i znów na jakiś to. Prymus uciekł, głowa rudej matki osunęła się ukośnie na spakowany w kilim fotel. Kępny bernardyn zasnął po długiej tajemniczej dyskusji o tym, że jechać i mszę odprawiać zebra na czczo. Drugi braciśzek w cywilu wsunął się w płaszcz między kosze i dach. Gdzieś już po północy wagon począł nieustannie drzeć i kołysać się ciągle nieprzerwanie naprzód. Trzeba się było pożegnać z miastem, ale p. przy każdej próbie wygramolenia się spomiędzy skrzyń, stołków, balii i worków wychylenia spod skrzyń, płaczących i trzeszczących groźnie dachów urażaliśmy się boleśnie o jakieś kanty i występy, zapadaliśmy stopami w próżnię. Miasto uciekało, a my nie mieliśmy na czym stanąć. Męczaliśmy się w ciemności — nie mogliśmy się nawet wzajem ujrzeć. W końcu poddał się strzeleniu wagonu, dziwnym snom, w które zapadł transport.

Musieliśmy wyjechać bardzo późno i gdzieś na linii musiały być jakieś zamknięte wjazdy, skoro długo jeszcze po niewczesnym, jesiennym z nocy gramolącym się świetle zdążyliśmy do Medyki. Ani służbie kolejowej, ani maszyniście nie spieszyło się pod opuszczonymi semaforami, bo wszystkie transporty jadą i odchodzą z takim wylęczeniem, by na stację graniczną przybyć w dzień. Zajechaliśmy nad jakiś płytki, pochopnie przez nas za granicę wzięty rów, a potem szarpnięci jeszcze raz. Prawie prosto na zapatulone w strzechę, z desek, wozów i drągów na lorach zbudowane chałupki i stajnie, zobaczyliśmy zielonych pograniczników, którzy pośród krów, koni i ludzi brodzili, łazili ze spisami.

— Wy ze... pani?

— My z Drzymałowa, my zaraz poznaliśmy. Przedwczorameśmy wyjechali — wołały wy-

prastowane na brzegach lor dziewczęta i z ciękawością zaszły ku nam. Były nie zważały na granicę ani na kontrolę kart ewakuacyjnych i w rannym słońcu doły krowy. Znad założonych deskami i kołami od rozebranych wozów brzegów wagonu, ze słomianego pokrycia dziurawych ścian i dachów wygadały zdziwione, zasmakane z chłodu dzieci. Na samej górze, na drewnianych i słomianych dachach z widokiem, na bantach, wystających drągach, cebrażkach i kłonicach mieściło się uprzywilejowane siedzisko co cięższych chłopaków i zuchowatych dziewcząt.

W ciszy granicznej przelaczali się tylko dudniące węglarki raz po raz. Wyprzedzały tak od rana wszystkie transporty i wyjeżdżały przed wszystkimi pociągami.

W jednym momencie zostaliśmy sami. Wydało nam się przez mgnienie, że to my jedziemy, ale wytaczano trochę dalej Drzymałów. Pogranicznicy nie chcieli, żeby płała się na sąsiednim torze w czasie kontroli naszego transportu.

Dym nakrywa słomiane powały wagonów, jak długi welon spływa na kuchnie i piecyki. Transport znika między daleko rysującym się widokiem Przemysła i najbliższą ścianą ścieżek, domów i sadów.

Pogranicznicy idą z konwojentami od wagonu do wagonu, liczą i fajkują numery. Wywołują numery i numery odpowiadają. Druga para podchwytuje podaną z tyłu cyfrę — „szesnastą”, „dwadziestą” — „wosiemnadziesiątą” — liczy jeszcze raz, włazi na worki, opukuje bardziej podejrzane skrzynie i przedzieloną wciąż jednym wagonem postępuje za pierwszą. Trzej karauli tworzą równoległą strażniczą ścianę wzdłuż transportu. Posuwanie się wzdłuż niej grozi posądzeniem o szwarz z wagonów nieskontrolowanych do skontrolowanych, znajdujących się już jak gdyby poza granicą i jest głośno rugane. Ale panie nie wytrzymują i przez okrzyki karaulów przebiegają coraz z innego wagonu za budynek straży pożarnej. Płaszcz bezceremonialnie i pospiesznie unoszą się ze spódnicami w górę, ożywiając cichy krajobraz graniczny. Reszta towarzystwa spotyka się po nocy w kucy pod wagonami. Na granicy pociąg nie ruszy. Pokrzykiwania zaglądających pod wagon karaulów zakłócają nieco generalny przegląd gazet zabranych w drogę.

HIERONIM E. MICHAŁSKI

Na pozycjach humanitaryzmu

Obraz czasów okupacyjnych w naszej literaturze nie jest jeszcze szczególnie bogaty (nie można zresztą z tego powodu wytaczać pisarzom procesy), ani tym bardziej pełny. Jeden wszakże rys uderza we wszystkich, co o tamtych czasach napisano, rys niechybnie charakterystyczny dla samych czasów i dla postaw tych, którzy czasem tym musieli sprostać. Uderza on szczególnie we wspomnieniach z obozów koncentracyjnych, ale występuje również w artystycznym przetworzeniu tych stosunków, co dowodzi realnej i wielkiej jego roli w życiu, której pisarz, transponując rzeczywistość w warunki prawdy artystycznej, nie mógł bez obawy sfalszowania opisywanych wydarzeń pominąć. Jest to rys solidarności między ludzką, uwydatnienie tych więzów zobowiązujących wspólności, w imię której w obliczu zagrażającego losu rodziło się poświęcenie, najwspanialsza bez wątpienia cecha natury ludzkiej.

Pamiętny jest ten moment w noweli „Apel” Jerzego Andrzejewskiego ze zbioru „Noc”, kiedy w szeregu więźniów stojących długimi godzinami pod grozą mogących spaść na nich razów siepaczy, aktor Trojanowski, przed chwilą na rozkaz SS-manna pobity do krwi przez współwięźnia, wyciąga rękę do tego, który go bił, ze słowami: „Przyjacielu!” W tym geście nie chodzi o przebaczenie („bo tu nie ma do przebaczenia” — jak określiła tę sytuację jedna z osób noweli) — ale o stwierdzenie solidarności między ludźmi postawionymi na jednej płaszczyźnie losu, solidarności, która krzepiła i ratowała przed załamaniem się wiary w godność ludzką.

U Andrzejewskiego, pisarza, dla którego sprawa samotności człowieka i prób wyłamania się z jej strasznego kręgu, jest centralnym zagadnieniem twórczości, ten gest ręki wyciągniętej poprzez zaporę samotności ku drugiemu człowiekowi ma swoją wymowę i w utworach takich jak „Apel” czy „Przed sądem” posiada wyrazistą i przekonującą wymowę artystyczną.

Charakter solidarności wśród więźniów, która w tylu wspomnieniach i utworach znajduje podkreślenie, zasługuje na uwagę. Jest ona najciekawszą niejako ponadosobistą. Obojętne jest przecież, do kogo się odnosi. Wynika jak gdyby z sytuacji wspólnego losu, który wydał istoty jednego gatunku w ręce istot, które swoimi postępkami i swoimi okrucieństwem wykraczają daleko poza granice praw ludzkich i wydają się istotami odmiennego i wrogiego gatunku. Solidarność w tym kręgu ma znamiona czegoś naturalnego i zarazem nieuniknionego, czegoś co, jak Ananke tragedii starogreckiej, dyktuje nieodwołalne formy postępowania. Solidarność, chociażby tylko solidarność biernego oporu, nabiera tu

Karauli krążą, odwracają się, znakami na odległość przesyłają sobie jakiegoś zdembilizowanego żołnierza bez dokumentów. Po sprawdzeniu kart luz w ścianie rozszerza się, choć nadal „obowiązuje” zakaz schodzenia z pociągu. Ludzie po prostu chcą widzieć granicę. Nadchodzi ostatnia okazja wymiany naszych paru rubli na „towa”. Drobnostkowe, śmieszne skąpstwo dokucza już od dawna wprost nieproporcjonalnie do ich ilości. Mała łączka i dwa domy dzielą wagony od „bazaru”. Chcemy pozbyć się tego jakiegoś ekonomicznego urazu, nikt jednak z handlujących na placu nie zbliża się do transportu. Tym obrócony półmiejski targ nie ciekawi się pociągami, bo nie wolno. Masło kosztuje sto dziesięć rubli. Ale po drugiej stronie „ściany” chwalcą ceny miejscowi kolejarze odradzają nam: „mogą przytrzymać”. Schodzący ze służby torowy decyduje się szybko skoczyć z pieniędzmi. Jest już w drodze, kiedy semafor idzie w górę.

Byliśmy ciekawi kraju. Każdy zasłyszany szczegół pomagał nam rzutować swoją przyszłość. Ale żaden list ani żadna opowieść nie były zdolne całkowicie odpowiedzieć naszym oczom i naszym pytaniom. Nie wierzyliśmy ani tym, którzy zapewniali, że wszystko jest, jak było, ani tym, którzy rozplakatowywali przed nami największe zmiany.

Nasyp dalekim łukiem nachylał się ku drewnianej wieży. Tor lekko skręcał w tym miejscu, zagarniając nieznacznie szarawą zielen pastwisk. Strażnika nie było widać i wśród pustych łąk i nie kończących się kretowisk wieża sprawiała wrażenie osamotnionej, zakończonej budką budowli triangulacyjnej. Sześciokrotnie splecione zasięki wypełzały parą z lasku, miały podstawę wieży, opłatały z obu stron puste domostwo i przez młody niedorozwinięty sad, jakby doganiając uciekający wciąż nasyp, wygięty na wznak łukiem biegły pod tor. Tylko parę metrów pustego pasa ugornej wewnątrz zasięków ziemi nosiło ślady ręki ludzkiej: fryzjerskie schody kosiarsza, któremu w drutach nie dostało zamachu. W dalekiej głębi łąk dwa samotne konie cesały grzywami siny horyzont. Pociąg wyginał się coraz bardziej i przez moment zdawało się, że granica biegnie za nami, że chce nas zatrzymać. Ona, najgłośniejsza w świecie, i taka pusta!

Gaszcz torów w Żurawicy zatrzymuje wszystkie pociągi. Wagony otrzymują kartki: „przeszedł z ZSRR”, parowozy odjeżdżają i pociągi, skupione gęsto obok siebie, zostają same jak opuszczone na stepie karawany. Żurawica jest ostatnim wielkim rozlewiskiem na torach przed wjazdem w kraj. Jest stacją ostatnich spotkań miast opuszczanej ziemi. Powiaty, województwa i wsie mijają się tu i sąsiadują krótko, raz jedyny w historii, w drodze nad Odrę. Biało-czerwone, na wyjazdowych stacjach niezgrabnie zdziergane chorągiewki transportów wymieniają tu na wietrze pozdrowienia. Nastaje dziwna, ubożona w dziesiątki monotonna torów cisza. Opuszczone przez przewodników stalowe karawany nachylają się w niej ku sobie: Wygnanka częstuje mlekiem Jaryczów, Zimna Woda grzeje wodę w Gródku Jagiellońskim. Wsie, jak zwykle, sprzedają miastom mleko, czasem tym, którym sprzedawały zawsze, a czasem takim, do których nie zachodziły nigdy, ale nie ma tu już śladu klas administracyjnych. Ewakuacja równa jeszcze raz dumne miasta i zahukane przysiółki: lokomotywy wyciągają je stąd w daleki świat nad Nyse jedynie w koleśności przybycia.

Brzeg Zasania przestanił nam już ostatnie, na ścianie wzgórz zbudowane miasto kraju. Patrzyło na zachód i ono jedno mogło dać naszym oczom i naszemu dotykowi przedsmak uścisku z krajem. Niepewni naszych losów, ciekawi każdego drobiazgu naszej przyszłości, tu po raz pierwszy mogliśmy dotknąć żywego ciała. Tylko ono mogło nas ukoić i uciszyć, nasycić w dalszą drogę. Zbliżaliśmy się doń z drżeniem i ciekawością, jak do eiała dawno niewidzianej kochanki, z którą mieliśmy rozpocząć nowy, wspólny żywot. Po drodze, między zaludnionymi przez wille wzgórzami twierdzy, która tej wojny nie zdołała powtórzyć swej sławy, wyrosły przed nami dziesiątki ludzi. Podeszli do wagonów. Kolejarze, zdembilizowani plutonowi, kupcy i terminatorzy, robotnicy w zamsarowanych ferszalungach i drobni urzędnicy, wszyscy, których mogliśmy już pytać o życie w domu. Nie było tu jednej określonej klasy czy grupy ludzi. Ilekroć przeciągali pod wagonami, a szli tam i z powrotem kilka razy, chcieliśmy ich gwałtownie pytać o Polskę. Ale oni pytali tylko o ruble.

Franciszek Gil

nuty, teoretycznego humanitaryzmu. Jest tu tylko posłuch dla wewnętrznego nakazu ratowania człowieka, któremu zagraża śmierć, jest jak gdyby solidarność gatunkowa z człowiekiem przeciwko istotom o cechach ludzkich, ale przeciw innej natury.

Nie zawsze jednak zdołał się Żukrowski ustrzec tego fałszywego (w sensie artystycznym) wydzwieku teoretycznego humanitaryzmu. Tak jest, niestety, w opowiadaniu „Przebieg”, gdzie poświęcenie się jednego uciekiniera z obozu dla drugiego, szczególnie w psychologicznym podmalowaniu tego faktu robi wrażenie sztucznego drapowania na bohaterstwo wypadku, który w istocie jest bohaterstwem. Tak jest w noweli „Pozdrowienie anielskie”, gdzie poświęcenie się dziedzica Sierakowskiego, idącego na rozstrzelanie zamiast nauczyciela, który był jego wrogiem, nie zostaje ujęte w problematykę artystyczną. Wydaje się, że w ogóle tematy, które wykraczają poza opis wymagając rozwiązywania zagadnień, stanowią słabą stronę bezsprzecznego talentu narracyjnego młodego autora.

Przykłady powyższe zdają się wskazywać, że humanitaryzm jako teoria poświęcenia stanowi największe niebezpieczeństwo w artystycznym przedstawieniu tematów okupacyjnych. Nie można przecież zapominać, że wymowa tego samego faktu w rzeczywistości i artystycznej transpozycji bywa częstokroć odmienna. Dlatego pisarze, którzy nie zdołali znaleźć dla opisywanych wydarzeń motywacji artystycznej, ponoszą klęskę, blaknąc się na pograniczu szablonu w oddaniu tego, co opalone życiem wcale nie było szablonem.

Hieronim E. Michałski

W poprzednim 28 (85) numerze „Odrodzenia” z dnia 14 lipca 1946 r.: Wacław Kubacki: Z zagadnień mickiewiczowskiej dramaturgii. — Stanisław A. Majewski: Polityka gospodarcza ZSRR. Plan i osiągnięcia trzeciego pięcioletnia (1938—1942). — Jerzy Andrzejewski: Zagadnienie polskiego antysemityzmu (II). — Z Ogólnopolskiego Salonu w Warszawie (Helena Soltanowa). — Leopold Staff: Zbiór. Flet. Fale. — Józef Sieradzki: Szkoła nowej demokracji. — Z Ogólnopolskiego Salonu w Warszawie (Walentyna Symonowicz-Mierzejewska). — Konstanty Grzybowski: O perspektywy ludnościowe Polski. — Stanisław Nienalowski: Odwet. — Grzegorz Timofiejew: Kłódka. Miód. — Jerzy Zawieyski: Sonata Henryka. — Irena Barowa: Niedoceniona przyjaciółka. — Józef Władysław Rejss: My Granpa is playing a horn czyli muzykologia. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankietka „Odrodzenia”. (Florian Barciński, Henryk Barycz, Antoni Galecki, Zdzisław Kaczmarski, Wilhelm Szewczyk, Stanisław Szczęotka, Marcin Wileczek, Wojciech Zakusławski). — Stefan Papée: Gdzie była praojczyzna Słowian? — Krystyna Kuliczowska: Próba syntetycznej teorii wychowania. — Michał Szulkin: Wspomnienie o prof. St. Kalinowskim. — Jaszcz: Przegląd prasy. — Stefania Łobaczewska: O Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Święto Muzyki Polskiej w Krakowie. — stm: Z prasy angielskiej. — Korespondencja (Helena Michałska, dr K. Zbierski, Henryk Markiewicz, Leon Bukowiecki). — Marian Promiński: O jednym filmie francuskim. — Tadeusz Różewicz: Poezja obowiązkowa. — 3 ilustracje. — 12 stron.

GUILLAUME APOLLINAIRE

Jesteś w Paryżu zeznajesz przed sędzią
 Jak przestępca w kajdany okuto ci ręce
 Odbywałeś podróże wesole i bolesne
 Zanim się ustrzegłeś przed kłamstwem i przed snem
 Cierpiełeś z miłości w roku dwudziestym i trzydziestym
 Ja com czas swój roztrwonil jak szaleniec jestem
 Nie śmiesz spojrzeć na swoje ręce a ja każdej chwili gardło pełne łez mam
 Też nad tobą, nad tą którą kocham, nad wszystkim co budzi twój przestach
 Patrzysz na biednych emigrantów i oczy w mgłę ci toną
 Modlą się wierzą w Boga żony ich karmią dzieci
 Przed odjazdem dworzec Świętego Łazarza napelnią swoim odorem
 Święcie wierzą w swą gwiazdę jak trzej królowie magowie
 W Argentynie spodziewają się wydzwignąć z nędzy
 I powrócić do kraju ale z wielkimi pieniędzmi
 Jak wy niesiecie swe serce tak czerwoną pierzynkę niesie biedną rękę
 Jednak są nierealne i nasze sny i ta pierzyna
 Niejeden z tych emigrantów zostaje tu i obiera
 Siedzibę na rue des Rosiers lub rue des Ecoiffes w ruderach
 Widują ich często wieczorem jak przechadzają się po ulicy
 Rzadziej zmieniają miejsca niż pionki na szachownicy
 Zwłaszcza jest wielu Żydów ich żony okryte peruką
 Bezkrwiście w głębi kramów przesiadują długo

Strefa

(Urywek)

Teraz stoisz przed ladą w niechlujnym barze
 Za dwa sous pijesz kawę jak ci oło nędzarze
 Jesteś w wielkiej restauracji gdy zapadnie noc
 Te kobiety nie są złośliwe tylko że moc mają trosk
 Wszystkie najbrzydsza nawet dręczyła swego amanta
 Jest to córka policjanta na wyspie Jersey
 Ręce jej których nie widziałem są twarde i chropawe
 Niezmierną litość budzą we mnie szwy na jej brzuchu
 W okropnym śmiechu zniżam usta do biednej dziewczyny
 Jesteś sam już nadchodzi poranek
 Ulice brzęczą od młeczarskich baniek
 Noc się oddala jak piękna Metywa
 To Ferdina fałszywa albo Lea życzliwa
 I pijesz ten alkohol pałacy jak życie
 Życie które pijesz jak wódkę obficie
 idziesz w kierunku Auteuil do domu wracasz pieszo
 Spać między felyszami Australii i Gwinei
 To innych wiar Chrystusowie którzy inaczej się mierzą
 Są to niżsi Chrystusowie niejasnej nadziei
 Żegnaj żegnaj
 Stojąc na barykadzie

LEON-PAUL FARGUE

Sny

Diecina biega
 Wokół marmurów,
 Głos się rozlega
 Spomad pagórów...

Wzrok tak poważny
 Tych co kochają
 Marzy i mija
 Między drzewami.

W dzwoniących halach
 Jakiegoś dworca
 Bułgocze fala
 Dawnych odjazdów.

We śnie zamierzchłym
 W krainie mglistej
 Rzeczy rozpięchle
 Konają czyste.

przełożył Adam Ważyk

przełożył Stanisław Brucz

WOJCIECH NATANSON

Poeta dyrektorem Komedii Francuskiej

André Obey, autor dramatyczny, twórca awangardowych utworów poetyckich, został powołany na stanowisko generalnego administratora, czyli dyrektora Komedii Francuskiej. Równocześnie uchwalono ustawę nadającą nowy statut pierwszej scenie francuskiej, a minister wychowania narodowego oraz minister skarbu ogłosili rozporządzenie, które ustala normy płac i wynagrodzeń artystów. Wyraźnie: rozpoczyna się nowy etap w dziejach tej instytucji.

Niemal cała prasa francuska zajmowała się gorąco ową sprawą. Zaczęło się od tego, że mniej więcej przed rokiem ówczesny tymczasowy dyrektor, Pierre Dux, ogłosił alarmujący raport. Pierwsza scena narodowa Francji była od chwili swego powstania teatrem subwencjonowanym; o toż wskutek dwóch wojen światowych i deprecjacji waluty, subwencje są dziś zupełnie niewystarczające. Jeśli Komedia Francuska ma spełniać swe zadania propagandowe, musi skupiać siły najgłośniejsze. Bo „Komedia” jest przede wszystkim propagandą; propagandą francuskiej poezji tak klasycznej jak i nowszej. Teatry młode, skupiające nowe energie, spełniają we francuskim życiu teatralnym rolę motoru i od nich zależy przyszłość. „Komedia” żyje rutyną, tradycją i rozgłosem — co nie wystarczy, że kiedyś może wchłonąć owe młode siły.

O toż wielkie sławy Komedii Francuskiej mają również i inne propozycje: występy w teatrach bulwarowych, objazdy zagraniczne (dolary, dolary!), a przede wszystkim — kino. Sam tytuł „socjetariusza” „Komedii” jest dostateczną legitymacją, by móc otrzymać negujące propozycje filmowe, gdyż snobizm konsumentów (zwłaszcza w USA) znajduje tu odpowiednią pożywkę. Dlatego aktorzy i aktorki Komedii Francuskiej, formalnie pozostając w jej zespole, faktycznie dużą część roku spędzali poza jej murami. Taka była główna przyczyna kryzysu na scenie Moliere’a.

Trzeba więc było sięgnąć po środki rewolucyjne. Komedia Francuska rządziła się dotychczas statutem, który wydał dla niej jeszcze Napoleon I w roku 1812, podczas wyprawy na Moskwę. Oczywiście, że Napoleon nie mógł przewidywać kina. Ale w sprawach kulturalnych Francuzi gorąco przywiązują się do tradycji. Minał Napoleon, Restauracja, monarchia lipcowa i dwie republiki z neonapoleońskim intermedium, minęły trzy wielkie wojny narodowe, przetożyło się tyle przewrotów — a „Komedia” wciąż jeszcze powoływała się na statut nadany jej przez zwycięzcę spod Austerlitz. Trzeba było dopiero kryzysu ekonomicznego IV. Republiki, by zmodyfikować prawo teatralne, nie odpowiadające już potrzebom chwili.

Nowy statut przewiduje, że kontrakty filmowe aktorów i aktorek Komedii Francuskiej będą zatwierdzone przez jej władze i że pewien (i to dość znaczny) procent z gaź filmowych ma przyspaść „Komedii”. Jest to ogromne ograniczenie zarówno swobody działalności artystycznej jak i zarobkowania, nie więc dziwnego, że postanowienia owe wywołały prawdziwą burzę. Duża część „socjetariuszów” podała się do dymisji; wśród tych secesjonistów widnieją sławne nazwiska: Clariond, Barrault, Ramus, Renée Faure, Marie Bell i znana nam z występów w r. 1937 w Warszawie piękna Madelaine Renaud. Część z nich zapewne wróci; przywiązanie do „Komedii” i wiara w jej przyszłość są bardzo silne. Reszta secesjonistów też zapewne nie odbiega zbyt daleko; krąży już pogłoski, że część z nich szuka budynku, by założyć swój własny teatr i grać w nim „Hamleta”. Najszczęśliwsza, istotnie, forma protestu!

Dalsza ważna reforma, jaką wprowadza

nowy statut Komedii Francuskiej, to przyłączenie do niej „Odeonu”. Druga scena narodowa Francji jest własnością państwa i ma — choć nie tak dawne — lecz jakże piękne tradycje. Współpraca, podział funkcji, połączenie zespołów — narzucały się w sposób oczywisty. Tego właśnie stara się dokonać nowy statut.

„Odeon” (pod nazwą „Teatru Luksemburskiego”) ma się odtąd zająć wyłącznie repertuarem współczesnym, a Komedia Francuska ma prawo grać sztuki współczesne dopiero po 10 latach od chwili premiery. Szkoła dramatyczna będzie dla obu teatrów wspólna. Jej najzdolniejsi wychowankowie po wypróbowaniu swych sił w „Teatrze Luksemburskim” grać będą na scenie klasycznej. We Francji więc repertuar współczesny uważany jest za najlepszy środek wychowawczy i kształcący dla młodych adeptów sztuki. Utwory debiutantów bywają zazwyczaj grane przez młodych. U nas odwrotnie! Gdy przed wojną

w moich recenzjach proponowałem młodym reżyserom współczesne sztuki polskie, zostałem przez nich zgromiony. Zapolska i Rittner byli ostatnimi etapami, poza który zapuszczać się nie śmiano. Otóż metoda francuska wydaje mi się lepsza: bo dojrzałość i doświadczenie potrzebne jest przy wystawianiu klasyków, a entuzjazm i świeżość w repertuarze współczesnym (u nas zresztą z reguły lekceważonym i pomijanym).

Ale wróćmy do spraw Komedii Francuskiej. Ustanowiono dość wysokie pensje „socjetariuszów”. Wynoszą one: 300 tysięcy franków rocznie, tj. 25 tysięcy franków miesięcznie. Ponadto 40 fr. za każdą próbę, 600 fr. za przedstawienie, 1000 fr. za udział w poranku poetyckim. To już nie są dochody, którymi można wzgardzić. Ale rzecz prosta, z dochodami gwiazd filmowych porównywać ich nie sposób.

Największe nadzieje łączą Francuzi z osobą nowego dyrektora, André Obeya. Ostatni

przedwojenny dyrektor „Komedii”, Bourdet, był również pisarzem. Położył on dla teatru ogromne zasługi, zyskał dlań czterech nowatorskich inscenizatorów: Copeau, Ratty’ego, Dulina i Jouveta, godząc w ten sposób tradycję z postępem. Niestety wojna i przedwczesna śmierć Bourdeta przerwały te zbawcze reformy.

Obey będzie zmierzał na pewno w tym samym kierunku. Jest on autorem sztuk, które można by nazwać awangardowymi. Przed 10 laty widzieliśmy w Warszawie osnuty na tle Biblii utwór Obeya „Noe” — było to niesłychanie śmiałe ujęcie dramatu Potopu, widzianego oczyma współczesnego poety; poety wierzącego i religijnego, a przy tym przeżywającego wszystkie zagadnienia naszej epoki. Uderzyła mnie świeża i bujna, wręcz upajająca poetyckość tego utworu, dziwnie niedocenionego przez moich kolegów w Warszawie. Jeden tylko recenzent uderzył w ton równie entuzjastyczny jak ja: był nim młody wówczas, ale bardzo czujny pisarz, Jerzy Andrzejewski.

Obecnie paryska „Comédie des Champs Elysées” wystawia nową sztukę Obeya pt. „Maria”. Jest to utwór eksperymentalny i nowatorski. Sztuka rodzi się niejako na oczach widza. Po podniesieniu kurtyny dekoracje są tylko na wpół ustawione, to zaledwie zarysowane. Autor proponuje widzom pewną ilość postaci: jest wśród nich namiętna i spragniona miłości kobieta, Maria, jest jej narzeczony, jest zakochany w Marii daleki wuj, jest wreszcie młody łajdak i oszust, którego Maria pragnie na równi z rozpaczliwie miłującą go dojrzałą już rywalką. Są także postacie-symbole, ale symbole drapieżne i żyjące własnym życiem: Autor, Fatalność i Śmierć. Śmierć (w postaci nieznajomego, czarno ubranego pana) posyłała coś o tragedii, która ma być grana i przybyła jak wrona zlatująca na żer. Szuka swej ofiary. Kto nią będzie? Autor przedstawia, na naszych oczach, różne możliwości; grane są sceny wynikające nie tylko z logicznej konieczności wypadków, ale i te, które nasuwa reminiscencja literacka, czy ostra ciekawość badacza. Krytyk literacki Thierry Maulnier określa Obeya jako namiętnego eksploratora nowych dróg poetyckich, nie zadowolającego się nigdy ustalonymi formułami dramatycznej ekspresji. Obey umie wciągać widza w łańcuch głębokiego wzruszenia, niepokoju, oszołomienia. Ale gdy już pozyskał widza, sam sobie przerywa. Za wszelką cenę chce uniknąć łatwizny, efekciarstwa, tryumfów elokwencji.

Takie stanowisko nie może być we Francji bezsporne. My bardziej jesteśmy przyzwyczajeni do eksperymentów w teatrze. Mickiewicz i Wyspiański pchnęli teatr polski na te drogi. Ale we Francji każdy eksperyment napotyka w teatrze na opór, być może pogłębiający jego wagę. Ostro na przykład skrytykował „Marię” współpracownik Mouniera z „Esprit”, Pierre Aimé Touchard.

Sądzę, że ten właśnie śmiały, nieucstepliwy, nie lękający się sprzeciwów, twórczy dynamizm Obeya predysponuje go na dyrektora pierwszej sceny francuskiej, sceny konserwującej wartości tradycyjne i klasyczne. Bo ten tylko, kto w sprawach sztuki posiada własne — choćby najbardziej sporne — zdanie, może dokonać czegoś naprawdę twórczego. Najgorszym dyrektorem będzie banalny przeżuwać powszechnie przyjętych i ustalonych „kanonów”. Człowiek taki jak Obey może być pożyteczny na stanowisku kierowniczym pod dwoma warunkami: mając swój własny światopogląd artystyczny musi umieć być bezstronnym i musi pozbyć się tak częstej, a groźnej w świecie sztuki wady: egocentryzmu.

Wojciech Natanson

MALARSTWO FRANCUSKIE



Na barykadzie

HONORÉ DAUMIER

JANINA LIPSKA

SERWANTKA

rysował ADAM MARCZYŃSKI

Tego dnia, delegatki Komitetu Dobroczyńności, pani Veglia, młoda, krągła mężateczka i panna Ramuzzi, stara panna jeszcze nie zrezygnowana, pełna zgryźliwości i pretensji, miały udać się do nędznej dzielnicy, która graniczy z dzielnicą portową, ale nią jeszcze nie jest, choć wiatr przynosi tam mocny zapach morza i ryb.

Panie szły pośpiesznie przez uliczki tak wąskie, że parasola nie można w nich otworzyć, gdzie każdy dom jest inny, a jedyne ich podobieństwo, to wysokość, starość i nędza. Szły przeprowadzić wywiad u niejakiego Porretti, kaleki, mieszkającego w zaułku św. Krzyża, pod numerem 12.

Na początku zaułka listonosz, z nosem do góry, a listem w ręce, śledził podrygi koszyczka, spuszczanego z jakiegoś okna szóstego piętra.

Dom pod numerem 12 nie był ani ładniejszy, ani brzydszy od innych. Panie musiały dreptać po ciemnych schodach, przesiąkniętych zapachami starzyny; wreszcie znalazły drzwi a na nich żelazny młoteczek. Zapukały; ale nie prędko im otworzono; panna Ramuzzi miała czas głądzić i wdychać. W końcu drzwi skrzypnęły; ukazała się kobieta, wpuściła je do mieszkania; i zaraz zalała potokiem słów, śpiewanych tokańskim akcentem. Trzepała, trzepała w wylewnym oszołomieniu, przepraszając za wszystko, za to, że panie musiały czekać tak długo na schodach, i za to, że była tak niedbale ubrana, i że jej synek, mały dzikus, toczący się jak baryłka po sieni, nie chciał się przywitać. Byłaby jeszcze ciągnęła z florencką obfitością słowa, gdyby nie to, że w drzwiach ukazał się sam Porretti, beznogi, blady mężczyzna o miękkich, opuszczonych ustach i sam cały jakby związający ze swych kul.

Wprowadzone przez niego do izby panie znalazły tam jeszcze jednego członka rodziny, córeczkę, małą wiedźmę, upartą, chudą i zsiadła z zimna. Najstarsza zaś dziewczynka była w szkole.

Pani Porretti przyniosła dwa stołki mniej kulawe od innych: otarła je gorliwie fartuchem. Następnie wymowna kobieta i mąż, który okazał się mniej milczący niżby się zdawało, opowiedzieli wszystkie swoje dzieje. Wiktor Porretti pochodził z Florencji, był sprzedawcą ulicznym, aż do wypadku samochodowego, gdy stracił nogę. Odtąd powodziło im się coraz gorzej. Jesienią i zimą Porretti sprzedawał kasztany na rogach ulic.

Od czasu do czasu wychodził z pękiem baloników, albo z wielkim, wywróconym parasolem pełnym krawatów i przedmiotów galanteryjnych. Ale interesy nie szły mu dobrze. Przeszkadzał zły stan zdrowia i zniechęcenie do wszystkiego.

Panie słuchały. Panna Ramuzzi nigdy nie wiedziała, jak się zachować w obecności nędzarzy; także i teraz siedziała sztywno, milcząc. Ale mała pani Veglia umiała słuchać; zadała kilka pytań, przerwała zbyteczną gadaninę, obejrzała puste kąty, dwa sienniki na ziemi, kilka wieszadeł z jakimiś szmatami sterzącymi na ścianie, bo nie było szafy. Potem wróciła do sieni, zręcznie podała zapomogę, zapewniła o opiece na przyszłość, przyrzekła pracę i wyszła ze swą towarzyszką, która dopiero za bramą odzyskała zwykłą pewność siebie.

— Biedni ludzie! — westchnęła pani Veglia.
— A biedni, biedni, oczywiście! Ale lampki

Wiktor Porretti był pesymistą, Franka Porretti optymistką. Nie przestając odgryzać się mężowi, przeliczyła pieniądze, wzięta dziurawy koszyk i wyszła po zakupy.

Dnia tego Porretti spożyli bajkowy obiad: był tłusty sos do makaronu, ryba smażona na oliwie i nawet trochę kawy. Ale niecodzienne zapachy zaintrygowały sąsiadów. Po obiedzie, gdy cała rodzina siedziała, rozkoszując się ciepłem pełnego brzucha, zapukało do drzwi. Zaraz potem wtoczyła się pani

— Tak — przytaknął lakonicznie Porretti.
— Widzicie? zawsze mówiłam, że trzeba mieć tylko trochę cierpliwości, a prędzej czy później dobra chwila nadejdzie.

— Tak jest.

— To już obecnie jesteście urzędzeni?

— Może coś będzie. Zobaczymy. Może trafi się zajęcie. Cóż to? Czyż zawsze ma nam się powodzić źle? Życie takie jest: raz pod wozem, raz na wozie.

Więcej pani Ballini nie dowiedziała się ni-



Ballini, sąsiadka, ciemnowłosa genuenka, szelaka w biodrach, a pękata w nogach, właśnie według klasycznego wzoru liguryjskiego. Przy niej dreptała córeczka, chytra istotka, która potrafiła udawać naiwną.

Porretti przyjęli je z uśmiechem, tłumiąc przekleństwa. Czym bardziej wpadali w nędzę, tym bardziej stawali się wrażliwi i dumni; nie znosili wizyt, ani wścibskiego podglądania. Lecz trzeba było panować nad sobą i być gościnnym.

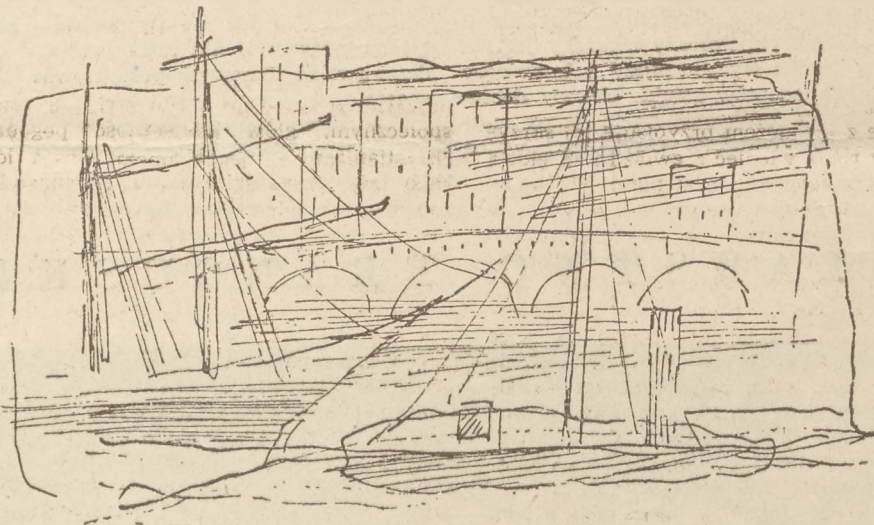
— Jak nam miło, że pani przyszła! Proszę wejść, proszę siadać.

Ballini usiadła, krzesło skrzypnęło, co bynajmniej jej nie speszyło. Zaczęła gadać swo-

czego. Po jej odejściu Porretti dał upust swemu oburzeniu:

— Krowa! Niby kto ją zapraszał? Głową przychodzi zawracać. Po wszystkich kątach się rozgląda, wszystkim się interesuje, pytania zadaje... A niech idzie do stu! Płotkarek w moim domu nie chcę! Ja tu jestem panem i robię to, co mi się podoba; i nikogo nie powinno obchodzić, czy tu jest ciepło, czy zimno, ładnie, czy brzydko!

Żona potakiwała, lecz z mniejszą złością; bardziej niż złość odczuwała upokorzenie, zdając sobie sprawę do czego doszli. Nędza zmuszała ich do ukrywania się w domu, jak dzikie zwierzęta na norze; a dom wyglądał



istym językiem, na wpół po włosku, na wpół gwara genuenka:

— Czy aby nie przeszkadzam? Na połu wiatr, że wytrzymać trudno. W zaułkach jeszcze jako tako, ale na placach — istny przeciąg! Żeby się już raz ta zima skończyła! Ale tu u państwa jakoś ciepłutko!...

Franka coś jej odpowiadała, tymczasem Ballini przyglądała się ścianie.

Gdy ostatnim razem była tu z wizytą, wisiła na niej wielki, miedziany rondel; teraz już go nie było. Widocznie także sprzedany!! Z każdym dniem ci Porretti stawali się bardziej w nędzę!

Franka rozumiała spojrzenie sąsiadki: aż jej się gorąco zrobiło ze złości. Licho nadało tę wścibską! No tak, jej było dobrze! Była żoną portowego urzędnika celnego i miała w swej kuchni aluminiowe naczynia, elektryczne żelazko, firanki w oknach i smakowity zapach jedzenia.

To przypominało France, że dziś w jej kuchni czuje się zapach kawy; nagle wstała z godnością.

— Pani Ballini, napije się pan z nami kawy.

Genuenkim zwyczajem, pani Ballini zaczęła grać rolę dobrze wychowanej damy.

— Nie, nie, nie, proszę nie robić sobie subiekcji! Nie chcę, nie chcę, niech się pani nie fatyguje. Innym razem! Bo sobie pójdę!

Po wielu ceremoniach z jednej i drugiej strony, kawa została podana i wypita. Nikt się nie domyślił, jak gorzką chwilę przeżyła Franka, gdy spośród nielicznych swoich filizanek musiała wybrać jakąś najmniej wyszczerbioną dla gościa.

Ale po poczęstowaniu kawą, małżonkowie poculi się bardziej pewni siebie wobec pani Ballini. Stali się rozmowni i prawie serdeczni; jednakże pani Ballini nie potrafiła wydożyć nic z tego, co chciała wiedzieć. W końcu odrzuciła dyplomację i zapytała po prostu:

— Zdaje się, że jakoś wam się lepiej powodzi?

naprawdę jak nora, że aż musieli się wstydzić, gdy ktoś przychodził. Byli już poza nawiasem i tylko krok dzielił ich od nędzarzy bez dachu nad głową, od tych z domu noclegowego. Myśląc o tym, Franka była bliska płaczu: ale przypomniała sobie obietnice pań i zaraz się uspokoiła.

Tego wieczoru cała rodzina położyła się spać bez zwykłego uczucia głodu. Ale, prócz małego Tonina, który, zmęczony swym czynnym dniem łobuziaka, natychmiast usnął, wszyscy inni przeżyli raz jeszcze w mrokach nocy nadzieję i wizję lepszej przyszłości.

Najstarsza córeczka, spokojna dziewczynka, u której apetyt przeważał nad fantazją, przedstawiała sobie przyszłość jako porcję sztokfisu z górą ziemniaków. Młodsza, przeciwnie, wtuliwszy swoje zziębnięte kości w różowe ciało siostry, oddała się bardziej skomlikowanym marzeniom: wyobraziła sobie, że w sklepie naprzeciw szkoły kupuje cukierki, rozwija jeden i zjada powolutku przed zdziwionym spojrzeniem koleżanki; i że wreszcie, dumnym ruchem rzuca papiererek pod nogi Mirelli Sarti, najbogatszej w klasie.

Na drugim slenniku mąż i żona, również skurczeni pod dziurawym kocem, także nie spali, myśląc o przyszłości. Wiktor Porretti tak się bał rozczarowania, że w ogóle nie chciał poddawać się nadziei; lecz sama tylko możliwość tej nadziei wystarczała, aby leżał spokojnie, nie jęcząc jak zwykle z powodu bólów w kikutach, nie narzekając na zimno.

Najbardziej żywe pomysły, najśmielsze projekty i najdziwniejsze zamiary krążyły w głowie Franki, żony. Przede wszystkim pomyślała o mężu i o dzieciach; potem wyobraziła sobie ze szczegółami swoją możliwą przyszłą pozycję prawdziwej gospodini w prawdziwej, własnej kuchni; a następnie przeniosła się myślą do bogatej willi, dokąd od czasu do czasu chodziła pomagać w sprzątanu; i gdzie wszystko, od piwnicy aż do strychu, wydawało jej się zawsze takie cudowne, nierealne!

Takie to było dalekie, takie inne, że nawet nie budziło zawiści. Wobec tego wszystkiego zawiść była uczuciem zbyt poufałym i prostym. Drepcząc niezdarnie po willi, Franka doznawała czegoś dławiącego i bardzo mglistego, co mogło zamienić się w bunt: zdawała sobie z tego sprawę zwierzęcą intuicją, choć nigdy się nad tym nie zastanawiała. Ale, ani piękna kuchnia wyłożona kafelkami, z najmodniejszą lodówką i szeregiem aparatów elektrycznych, ani salony, ani przepych innych pokoi nie budziły w niej tego uczucia tak silnie, jak skromna serwantka, w bocznym, opuszczonym saloniku. Stała tam kolekcja porcelany. Pomiędzy chińskim serwisem, a saskimi wazonikami, na dwóch środkowych półkach ustawiono stare figurki z Sèvres, klejnoty całej kolekcji. Figurki drgały po prostu subtelnym życiem. Małe damy kłaniały się w swych sukniach o delikatnym kolorze, w mikroskopijne kwiatki; mali rycerze podawali tanecznym ruchem bukiety.

A France trudno było uwierzyć, że coś podobnego można stworzyć z porcelany! I nie nigdy nie rozbudzało w niej większego niepokoju i większego poczucia własnej małości; ani wyniosła właścicielka willi, pani Guarnieri, ani wystrojone, dumne panienki, ani eleganckie pokojowe, ani bogata sąsiadka Ballini. Czasami, stojąc przez serwantką, odczuwała gniew silny, aż do furii, aż do chęci rozbicia szafki. Ale najczęściej doznawała tylko upokorzenia; schylała głowę, dławiała się westchnieniem i widziała całą swą nędzę.

O, bo ona potrafiła dobrze zrozumieć, do dna przeniknąć znaczenie tych cacek, mniej efektownych od sreber w jadalni, czy dywanów w salonie! Ona rozumiała znaczenie i wagę tych drobiazgów z porcelanowej koronki, tak zdawałoby się niepotrzebnych, a przecież koniecznych, aby zaznaczyć subtelność i wyższość tych innych ludzi, nie skazanych wyłącznie na borykanie się z nędzą, na wieczne troski i na walkę przez całe życie, dla zdobycia kawałka chleba!

Ci ludzie mogli słuchać śpiewu, przystawać nad kwiatami, podziwiać zachody słońca i robić to wszystko dla samej przyjemności, dla rozkoszy słuchania, patrzenia i podziwiania. Mieszkali, ubierali się, uczyli swoje dzieci i leczyli je, gdy były chore; ale nie kłopotali się tymi wszystkimi sprawami. Obrazy nie służyły im, aby przykrywać ślady pluskiew, dywany nie leżały po to, żeby nie wiało od podłogi. Jedli, ale nie mieli potrzeby myśleć o jedzeniu. Więc mogli stawiać sobie w mieszkaniu przedmioty, których jedynym celem było stać i świadczyć, że właściciele mają możność dbania o subtelność ducha.

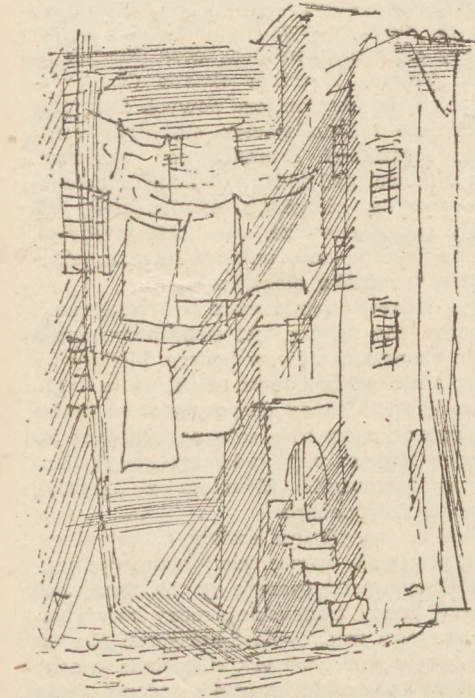
Franka to rozumiała. I jej zdarzało się niekiedy, gdy wracała z zarobionymi pieniędzmi, że odczuwała piękno świata i radość życia. Spoglądała na stary kościół, zaróżowiony zachodzącym słońcem. Dźwięk dzwonów napełniał mały plac, aż drżały stare mury i świeże listki drzew. Wtedy przychodziła France chęć oglądania wszystkiego jedno czego, wystaw, obrazów, pocztówek ilustrowanych, czy sklepu z kapeluszami. Po prostu nęciło ją uważne, a pozbawione widocznego celu oglądanie, takie oglądanie dla oglądania, gdy ścisnęła mocno w ręce torebkę z pieniędzmi, żeby nie zgubić. Ale zaraz targała nią rzeczywistość. Musiała ominąć sklepik, w którym byli zadłużeni; lekarstwo dla kaszłającej có-



reczki kosztowało więcej, niż miała zarobionych pieniędzy; jarzyny znowu podrożały. I zaraz podziwianie świata stawało się znowu luksusem i stratą czasu.

Franka wracała do domu zła i smutna. Po każdym takim „oglądaniu” odczuwała bardziej niż kiedykolwiek cęzar swą nędzę, beznadziejność i bunt.

Ale dziś, wspominając przed snem piękna



przed obrazem u nich nie ma. Tego pani nie zauważyła! — kwaśno zagadkała panna Ramuzzi.

*

Gdy panie z Dobroczyńności odeszły, małżonkowie Porretti trochę się pokłócili na temat: Będzie co z tego, czy nie będzie? Można wierzyć obietnicom, czy też skończy się na tej jednorazowej zapomódze?

willę pani Guarneri i figurki z porcelany, Franka nie drgnęła zwykłym szlochem. Pomyslała o rannej wizycie pań, o obietnicach, i powróciwszy znowu myślą do figurek, przyjrzała im się ze spokojem nie pozbawionym przyjemności: aż jej się rozplynęły w cichych mrokach snu.

Pomimo pesymizmu Wiktora, pomimo braku lampki przed Matką Boską, marzenia rodziny Porretti spełniły się. Wiktor Porretti otrzymał zajęcie sprzedawcy w kiosku na stacji; prócz tego, dostał mieszkanie w nowej dzielnicy robotniczej i zapomogę na kupno rzeczy pierwszej potrzeby. Zaś stosownie do regulaminu Komitetu Opieki panie Veglia i Ramuzzi miały odwiedzić benefikowanych w ich nowym mieszkaniu.

Udały się tam pewnego dnia z początkiem marca. W powietrzu już odczuwało się wiosnę. Nowa dzielnica robotnicza o jednolitych blokach domów była mniej ciekawa niż

zaułek św. Krzyża, ale za to czysta i pełna słońca. Porretti mieszkali na parterze. Od ulicy zobaczyły panie w oknach nowe firanki, tak nakrochmalone, że wyglądały jak wycięte z papieru. Otworzył im sam Porretti; zaraz ukazała się i żona w nowym fartuchu, a za nią mały Tonino, bardziej okrągły niż kiedykolwiek. Dziewczynki były w szkole.

Spadła zwykła kaskada słów; mąż miał rozpocząć pracę od połowy miesiąca; córeczka prawie już nie kaszlała; wszyscy byli szczęśliwi do tego stopnia, że jeszcze nie mogli się oswoić z rzeczywistością. I byli zachwyceni swym nowym mieszkaniem, choć jeszcze nie mieli mebli. Na potwierdzenie tych słów Franka otworzyła drzwi, ogarniając pusty pokój spojrzeniem pełnym dumy, jak gdyby zamiast czterech ścian, okna, pieca i znanych sienników na ziemi pokazywała paniom stylowy salon.

— A teraz — powiedziała — proszę obejrzeć jeszcze kuchnię. O, proszę tedy! — Panie po-

szły, nie przewidując niespodzianek. Nagle, utknęły na progu kuchni i tak pozostały, panna Ramuzzi zaraz oburzona, zaś mała Veglia ubawiona.

W kuchni, w najwidoczniejszym miejscu, stała sobie mała szafka z oszklonymi drzwiami. A w niej tłoczyła się po prostu, choć troskliwie roztawiona, cała masa drobniaków z grubego szkła, z porcelany, z drzewa, a nawet z papieru. Surowe oczy panny Ramuzzi nie znalazły w całym tym kramie ani jednego przedmiotu choć trochę pożytecznego. Na pierwszym miejscu, wśród papierowych wachlarzy, futrzanej małpki na gumce i szklanego kota, rozpychał się duży porcelanowy słoń z uniesioną trąbą.

Tymczasem Wiktor Porretti robił honory gospodarza jak gdyby nigdy nic.

— Ten stół, to nasz dawny stół polakierowany na nowo. Prawda, że porządnie u nas teraz wygląda? Jasno i ciepło, w kuchni słońce świeci przez cały dzień. Naczyni mamy jesz-

cze niewiele, ale to nic, kupimy sobie, gdy zacznie zarabiać.

Panie już się zbierały do odejścia, lecz zmuszono je napić się kawy, ocukrzonej, jak syrop. Dopiero potem cała rodzina odprowadziła je do drzwi, dziękując i błogosławiąc.

Na ulicy panna Ramuzzi przystanęła; dłużej nie mogła już nad sobą panować. Aż drżała ze wzruszenia, a głos miała ostry i piskliwy.

— Widziała pani? Mówi się biedacy, biedacy, cierpią głód, cierpią chłód; więc im się daje zajęcie, chleb, mieszkanie; i co? Okazuje się, że za rzecz niezbędną uważają szafkę pełną rupieci. Na to wydają pieniądze! Łóżek nie mają, garnków prawie że nie mają, ale szmacianą baletnicę i porcelanowego słońca muszą mieć!

Pani Veglia nie oburzała się: odczuła, że ta szafka miała swoją głęboką wymowę, że była symbolem, ale nie potrafiła zrozumieć czego, więc się tylko uśmiechnęła i nic nie powiedziała.

Janina Lipska

TADEUSZ PEIPER

Młody poeta w domu Kandydy

W związku z przedstawieniem w Krakowie

Wchodzi nieśmiało, a gdy zauważa, że prócz gospodarza domu znajduje się w pokoju ktoś, kogo nie zna, zatrzymuje się, nie wie, co ze sobą zrobić, i za chwilę wykonuje kilka kroków, które, nie będąc cofaniem się, mają jednak oddalić go od nieznanego. Czy przyczyną tej nieśmiałości jest jego młodzieńczość, wprowadzona między ludzi, z których najmłodszy ma lat trzydzieści? Czy jest nią dotychczasowe jego życie, wtulone w samotność, a skręcane cierpieniem? Czy jest nią smutny przywilej jego nerwów, dający mu wrażliwość innym nieznaną?

I to i to i to, ale z tym ograniczeniem, że te przyczyny, razem wzięte, wytworzyły nową, tę, która działa najbardziej decydująco: jest nią przekonanie, że sprawy, o których warto z ludźmi mówić, o których najbardziej warto z nimi mówić, te właśnie sprawy nie mogą być przedmiotem rozmów.

Jakżeż mu nie być nieśmiałym, skoro nie jeden temat naraża go na śmiech. Kandydę śmiesz, że doróżkarzowi chciał zapłacić dzie sięć szylingów zamiast dwóch; jej ojca, ge-szefciarza, śmiesz, że nie zna ulicy, którą rzekomo zna w Londynie każdy. Jakżeż mu nie być nieśmiałym, skoro nie jeden temat naraża go na zatarg. Gdy zacznie szczerą rozmowę z sekretarką gospodarza domu, ściągnie na siebie takie jej oburzenie, że zagrozi mu wyjściem z pokoju, choć będzie wypowiadał tylko prawdę o sobie i o niej samej, i choć w biciu serca znajdzie ona potwierdzenie słuszności jego słów.

Żąda, aby nie było ukrywane to, co w ludziach jest ich rzeczywistością, żąda, aby w stosunkach międzyludzkich obowiązywała prawda o tym, co w ludziach jest najsilniejsze, najbardziej stałe, najbardziej niezachwiane, żąda, aby ze stosunków międzyludzkich wyłączone było to, co jest tylko słowem. Staje więc w odwiecznym szeregu obrońców natury ludzkiej i prawdy o niej.

Ale on na razie stawia swe żądania przede wszystkim dla wyzwolenia samego siebie. Nie zawsze zdobywa się na wypowiedzenie tego, co przeżywa. Ma w sobie miłość, pragnie dać ją za miłość a nie śmie wypowiedzieć swych życzeń. Gdy ma swe uczucia ofiarować, dusi go nieśmiałość, stoi niemy albo mówi głupstwa i — kłamstwa.

Często mówił z Kandydą o księżycu, ale to tylko dlatego, że nie chciał mówić z nią o niej. Gdy ona nie wyklucza w nim pożytyckości, poży uprzejmości, poży mądrości, i wzywa go, aby to, co czuje, wypowiedział prawdziwie, wyznaje, że tak mówić nie może, bo wszystkie słowa, jakie zna, łączą się z jakąś pozą, wszystkie co do jednego. Nie zastanowiło to Kandydę, ale zastanawia nas. Ten wielbiciel prawdy, ten spełniacz prawdy, nie umie uporać się z pozą? Nie, on tylko pozostaje w obrębie słownictwa Kandydy, gdy chce wypowiedzieć swą myśl o ograniczoności służby słów. Czuję, że przez skojarzenia, jakie one budzą z tylu dawnymi wypowiedziami uczuć, zniekształcają uczucia; że uczucie prawdziwe, aby nie zatracić się w słowach, musi szukać nowych sposobów wypowiedzienia się; że uczucie nie może wypowiedzieć się w całej swej prawdzie. Dlatego to młody poeta ogranicza się do dźwięcznego powtarzania imienia tej, którą kocha. Jest to chwila, w której rozumie trudność wypowiedzenia tego, co w ludziach jest ich rzeczywistością, trudność realizowania jego podstawowych żądań.

A czy to, co mówi o Kandydzie, zgodne jest z tym, czym ona jest w rzeczywistości?

Obserwowaliśmy ją w ciągu kilku godzin jednego dnia, znamy kilka jej postępów, znamy sprzeczne zdania ludzi o niej, znamy kilka jej wypowiedzi o sobie, no i znamy jeszcze kilka sądów, jakimi ją scharakteryzował ten, który znał ją najlepiej, ale który nie chciał nam mówić o niej jaśniej niż mówi o ludziach samo życie, znamy kilka sądów, jakimi scharakteryzował ją sam autor, wielki

pisarz, Bernard Shaw. Ale to, co mówią o niej inni, nie wyłączając wielkiego pisarza, mniej nas obowiązuje — gdy chcemy ją określić — niż własne jej działania, a wśród nich także jej działania słowem. Tak ją odtwarzając, przedstawiamy ją sobie jako kobietę urodziwą, miłą, oddaną ognisku domowemu, obojętną, gospodarną, uwzględniającą uważnie zatargi między wydatkiem a dochodem, wcale nie głuchą na głosy materialności. Dla obcowania z poezją ma możliwości ograniczone, dla obcowania z poetą — też. Eugeniusz interesuje ją nie jako poeta, ale jako obrońca prawdy życia, jako rozdieracz złud i fałszów, interesuje ją tym, co w nim jest z jej własnego łaknienia zgody między słowem człowieka a rzeczywistością jego życia, interesuje ją tym, czym różni się od męża, który górnym frazesem przesłania to, co w nim i dookoła niego jest najsilniejsze, najbardziej rzeczywiste. Właśnie ona, kobieta przejęta domowym gospodarstwem, raduje się prawdą poety. Właśnie poprzez głosy materialności dochodzi do zrozumienia głosów wyższych. Poeta wszedł w jej dom jako żebrak i mógł wejść tylko tak.

A cóż ten poeta mówi o niej?

W sporze z jej mężem przypisuje jej skrzydła, lilie w rękę, wieniec z gwiazd nad głową i wschodzący księżyc pod stopami. W pierwszej chwili mogłoby wydawać się, że widzi ją błędnie, że ją idealizuje, że uważa ją za postać obcą sprawom ziemi. Ale sam naprowadza nas na właściwy sens swych słów, gdy daje do zrozumienia, że skrzydłata postać pochodzi z jego utworu poetyckiego, że więc jest symbolem. Symbolem czego? Odpowiedź daje nam obraz, który Eugeniusz dał Kandydzie w podarunku i który wisi nad kominkiem: Tycjana „Wniebowzięcie Marii“. Bardziej niż gdziekolwiek indziej, Maria z Nazaretu wielbiona tu jest nie jako istota nadziemską, czysto duchową, lecz jako istota, w której słowo stało się ciałem, wielbiona jest za jej wartości najbardziej ludzkie, za jej urodziwą i owocną kobiecość, za jej macierzyństwo, za rozdawnictwo opiekuńczych łask. Obraz mówi wyraziście, że była i pozostała pełnym człowiekiem — ona, która jedna jedyna weszła do nieba nie tylko z duszą, ale i z ciałem. Obraz przypomina, że Chrystus, który nie ma ojca spośród ludzi, ma spośród ludzi matkę. Obraz głosi, że wniebowzięcie Marii to chwila, w której prawdziwe pełne człowieczeństwo wznosi się w świat najwyższy. Obraz Tycjana pozwolił Eugeniuszowi dać — w wymiarach przesady — bezsłowny symbol osobowości Kandydy, pozwolił mu wyrazić myśl, że widzi w niej kobietę, która związana jest z ziemią i prawami jej materialności, ale która poprzez macierzyńską opiekuńczość wznosi się na wysokie poziomy.

Mówi raz, że chciałby dać Kandydzie łódź, w której mogliby odpłynąć daleko od świata, tam gdzie marmurowe posadzki zmywa fleszcz, a suszy słońce, i gdzie południowy wiatr przemiatą zielone i purpurowe kobierce. Mogłoby się wydawać, że — idealizując kochaną kobietę — wymarzył dla niej krainę marmurowych pałaców i południowych kwiatników jako jedyną godną jej piękna, ale wystarczy uważnie przyrzeć się jego słowom, a okaże się, że nacisk położony jest w nich na sprawę bardziej ludzką, na sprawę pracy; w krainie, o której marzy, deszcz myje, słońce suszy, wiatr zamiat; siły przyrody pracują tu za kobietę, uwalniają ją od konieczności trudu i siły, rozszerzają obszar jej wolności. W tych swoich marzeniach nie widzi nic osobliwego, według niego nie wynikają one specjalnie ani z niego ani z Kandydy, bo — twierdzi — każdy mężczyzna tak właśnie marzy o warunkach życia, jakie chciałby dać kochanej kobiecie.

Nic z idealizacji i nic z wizjonerstwa nie ma w nim także, gdy mówi Kandydzie o mieczu ognistym, stanowiącym granicę między nią a nim. Ten miecz to podyktowana sytuacją metafora, która z pogrzebacza, narzę-

dzia służącego do podtrzymywania ognia kominkowego, czyni symbol broni ochraniającej domowe ognisko.

Widzi Kandydę taką jaką jest.

Mówią o nim, że widzi wszystko, że rozumie wszystkich, i że zawsze ma słuszność. Na ogół biorąc, tak właśnie jest. Wprawdzie Kandyda — dla pocieszenia męża — sprowadza raz do żartu swe poprzednie sądy o słuszności spostrzeżeń i twierdzeń poety, jednak słuszność ich potwierdzają fakty. Najwyraźniejszym spośród nich jest końcowe wyłamanie się najbliższych współpracowników męża Kandydy z zasad głoszonych przez niego.

Oczywiście nie jest Eugeniusz wolny od pomyłek i z nich właśnie pochodzi dramat, jaki przeżywa w domu Kandydy. Przekonany, że jej mąż, pastor Morell, znakomity kaznodzieja i znakomity mówca, zasypuje krasomówczymi frazesami prawdę życia, więc to właśnie, czego łaknie ona, dochodzi do wniosku, że ona kochać go nie może, nie wyklucza nawet, że może nim pogardzać. Ale i w Morellu prócz słów nie znajduje nic, co wskazywałoby na to, że żonę kocha; pastor bierze najczynniejszy udział w ruchu chrześcijańsko-społecznym, głosi konieczność pogodzenia chrześcijaństwa ze socjalizmem, swym ideom służy intensywną działalnością propagandową, codziennie przemawia w innym stowarzyszeniu, na innym zgromadzeniu, wydaje się, że jego idee i prace zajmują w jego duszy wszystkie miejsca najdroższe, najbardziej wyróżnione i że poza nimi nie ma już miejsca na miłość dla żony.

W tym przekonaniu o braku miłości między obojgiem małżonków podtrzymuje młodego poetę jego pogląd, że w ogóle mało jest prawdziwych miłości i że najbardziej natrętnie starają się o miłość ci, którzy jej nie potrzebują i którzy jej nie dają. Prawdziwość miłości ocenia według swojej, natężenie jego własnych uczuć każe mu powątpiewać o prawdziwości tego, co czują inni. Myli się pomyłkami, które rodzą się z jego wyznoszenia.

Poznaje swe pomyłki. Pod frazesami Morella, z których sztychł i które zwalczał, znajduje — jako zatajaną prawdę — mówienie miłości do żony ponad wszystkimi innymi uczuciami, znajduje, że ta miłość jest źródłem wszystkich jego życiowych możliwości. Poznaje też, że mylił się co do Kandydy, bo ona męża kocha. Poznawszy swe pomyłki, odrywa się od nich, odchodzi.

Dzięki swym słusznościom i dzięki swym pomyłkom uświadamia sobie swą siłę, i widzi przed sobą życie, które daje wyższe wartości niż szczęście.

Jego końcowe odejście jest spełnieniem licznych prób odejścia podejmowanych przez niego już poprzednio. Odprowadził Kandydę do domu, ale nie chciał tu pozostać długo. Zapraszany przez jej męża do pozostania, odmawia. Zostaje jednak. Wkrótce temat odejścia pojawia się ponownie. Morell po gwałtownej kłótni wzywa go do natychmiastowego opuszczenia domu. Wyrzucany, nie od razu oświadcza Eugeniusz gotowość odejścia. Gdy ją oświadcza, tamten zatrzymuje go. Na chwilę, tylko na chwilę, tylko dla umówienia czegoś. Z tego zatrzymania na chwilę wynika jednak pozostanie. Ale pozostanie przerywane nowymi próbami odejścia. Dopiero gdy Kandyda dokonuje wyboru na rzecz męża, temat odejścia dobiega końca i wtedy Eugeniusz — niecierpliwi się już, by dom ten ostatecznie opuścić.

Linia odejść Eugeniusza nie jest bynajmniej przejawem słabości jego charakteru, przeciwnie, szczegółami swymi podkreśla jego siłę. Linia ta mówi jednak więcej, mówi ogólniej, reprezentuje w ogóle powikłania tworzone przez życie. Pochodzi ona z faktu, że Shaw zbudował swą postać z myślą o jak najdalej idącym zbliżeniu się do naturalnych przebiegów życiowych, że zbudował ją w niezależności od uświadczeń prawdziwej dramaturgii, że ujął ją nową kategorią

dramatopisarską. Idee, postępkę, przeżycia Eugeniusza, choć wypowiadają się w nich sprawy wieczne, nie mają tej wartości literackiej, jaką ma biorąca je w siebie kategoria dramatopisarska umożliwiającą takie zbliżenie się do życiowych przebiegów, jakiego przed Shawem nie osiągnął nikt, jakiego przed nim nikt nawet nie odważył się chcieć. Po nim — inne i dalej idące zbliżenia podejmować będą najśmielsze wysiłki literatury.

W całym tym „misterium“ i we wszystkich jego postaciach działa bunt autora przeciw dotychczasowemu człowiekowi literackiemu budowanemu zbyt logicznie. Sposoby, jakimi przeciw niemu buntuje się Shaw, stanowią jego odrębność i genialność. (W innych dramatach czyni to inaczej. Warto by dla próby obedrzeć jego postacie z idei, jakie głoszą i z działań, jakie wykonują, a wydobyc z nich tylko linie ich ruchów życiowych, warto by nawet ich drogi życiowe ułożyć w wykresy, podobne do tych, jakie układa fizyka dla unaocznienia działania sił. W takich to wykresach wystąpiłoby na jaw to, co tkwi popod dialogami i działaniami dramatów Shawa, wystąpiłoby na jaw jego filozofia ludzkich ruchów, ludzkich dróg).

Trudne zadanie, przed jakim stanął p. Kalliszewski jako Eugeniusz, utrudnił mu wszyscy jego współpracownicy.

Naprzód tłumacz. Już choćby to, że Sobieniowski każe Kandydzie i Morellowi mówić do Eugeniusza przez ty, nie pozwala aktorowi postawić figury we właściwy sposób; znany tłumacz niemiecki, Trebitsch, stosuje tu słusznie formę „Sie“. W porównaniu z przekładem niemieckim nasz umniejsza wartość młodego poety i mija się z jego postacią nawet w bardzo istotnych wypowiedziach. Niech to unaocni szczegół taki: według Sobieniowskiego umie Eugeniusz mówić z naiwnością dziecka i przebiegłością węża, według Trebitscha z zapałem dziecka i jadowitością węża; zapał i jadowitość godzi się z całością postaci Eugeniusza, nasz przekład nie i tym dezorientuje aktora.

Dezorientuje go także reżyser. Całości przedstawienia nie dał p. Biegański tonu zgodnego z ładunkiem wewnętrznym, jaki mają w sobie postacie tego utworu, i zgodnego ze sposobami wyładowania się tych ładunków. Nie bez związku z tym rozważania sytuacyjne rażą błędnością. Z nawiasowych wskazówek, jakie autor przeznacz dla aktorów, widać jak bardzo zależy mu na ekspresyjności podchodzących ludzi do siebie, na ekspresyjności ich przestrzennych ustosunkowywań się do siebie, wyczuwa się nawet, że chodzi mu niemal o symbolikę ustosunkowań przestrzennych. W reżyserii p. Biegańskiego nic z tego nie ma. Przykład najbardziej rzucający się w oczy: usytuowanie Kandydy, gdy siedzi przy kominku z pogrzebaczem. Shaw podaje ją — zwróconą ku ogniw, ze stopami na kracie kominkowej, bo takie jej usadowienie się wyraża w tej chwili jej nierozrwalną łączność z ogniskiem domowym, jest podłożem, na którym pogrzebacz przelstacza się w miecz płomienisty, jest znakiem, w którym zawarte jest wszystko co potem nastąpi. Ale nasza Kandyda siedzi przy kominku — odwrócona od niego.

Nie służy aktorom urządzenie sceny wykonane przez Fryca. Ze jest dalekie od autentyczności, możemy wybaczyć biorąc pod uwagę okoliczności pozaartystyczne, ale że Frycz-artysta popadł w rażącą niezgodność z wewnętrzną naturą dzieła i z wymogami rozwiązań sytuacyjnych, nad tym trzeba boleć.

Najmniejszymi przeszkodami są dla p. Kalliszewskiego jego główni partnerzy, Nowakowski i Jaroszeńska, choć i inni przy głębszym wgrzyzieniu się w niezwykle dzieło rozwiązałyby jego tematy liniami, w które młody poeta mógłby wnieść swoje — z godną siebie prawdą.

Tadeusz Peiper

WACŁAW KUBACKI

Dyskusja mickiewiczowska

Mickiewicz nie jest dostatecznie znany nie tylko tzw. szerszemu ogółowi, lecz także inteligencji, a nawet pisarzom. Jak po epoce religijnej czci poety nastąpił czas nabożeństwa filologicznego, tak obecnie zapowiada się okres kultu literackiego. Piękne szkice mickiewiczowskie Przybosa byłyby tego zapowiedzią.

Mickiewicz jest kopalnią niewyziyskaną nawet publicystycznie. Ile tam materiału aktualnego! Nie stać mnie na kupowanie wszystkich tygodników a przedwojenny zwyczaj abonamentów bezpłatnych dla krytyków i pisarzy zaginął, więc nie wiem, czy w gorącej dyskusji o społecznej genealogii inteligencji przypomnieli ktoś kapitalne opowiadanie Władysława Mickiewicza, jak to mu ojciec nie pozwolił wertować herbarza Niesieckiego.

„Nie wiem dla jakich poszukiwań — pisze syn poety — znajdował się u nas w domu w 1853 r. egzemplarz Niesieckiego, wypożyczony z Biblioteki Polskiej. Dobierałem się już do herbu Poraj (herb Mickiewiczów), kiedy ojciec zamknął mi książkę przed nosem mówiąc: — A tobie co do tego? — takim tonem, że już nigdy nie śmiało spytać go o rodowód Mickiewiczów. Wieczorem skarżył się na moją ciekawość przed F. Wrotnowskim, dodając:

— Jak się dziwić, że prawie w każdym Polaku są ślady szlacheckości, kiedy nawet dzieci nasze, we Francji urodzone, mają do tych głupstw skłonność” — (wyd. sejmowe, XVI, 332).

Jeśli odpowiadam na „korespondencję” J. K. Dębowskiego, („Odrodzenie”, nr. 27) to czynię to nie dla polemiki. Odpowiadam, bo to daje mi sposobność uzupełnienia niektórych mych uwag w felietonie „Igraszki wydawnicze” („Odrodzenie”, nr. 22). A poza tym Mickiewicz jest taki ciekawy! J. K. Dębowski przyznając mi zasadniczą słuszność pragnie sprostować parę mych rzekomych „nieścisłości”. Doświadczam się tedy ze zdziwieniem, że omyłkowo przypisałem wydanie sejmowe prof. W. Bruchnalskiemu, podczas gdy sporządził je prof. St. Pigoń. Niestety mój krytyk jest w błędzie: nie przypisywałem wydania sejmowego W. Bruchnalskiemu — byłoby to czymś więcej niż nieścisłością! Napisałem natomiast wyraźnie, co następuje: „Jak wiadomo, tekst „Pana Tadeusza” został krytycznie ustalony w wydaniu sejmowym przez W. Bruchnalskiego”. I tego nie mogę cofnąć w imię ścisłości! Na wewnętrznej karcie tytułowej „Pana Tadeusza” w wydaniu sejmowym stoi jak wół notatka komitetu wydawniczego: „Tekst ustalił Wilhelm Bruchnalski. Dodatek krytyczny przygotował Stanisław Pigoń” (IV, str. 5 nie-liczbowana). Oba te fakty starannie rozróżniłem w mojej recenzji mówiąc o tekście W. Bruchnalskiego i komentarzu St. Pigoń. Gdzie tu nieścisłość, gdzie tu omyłka?

Jeszcze trudniej mi zrozumieć, dlaczego do kategorii „nieścisłości” ma należeć to, że żądam w jednym z objaśnień do księgi XII dwóch postaci obocznych staropolskiego słowa: kontuz i kontuza? Raczej bym się spodziewał zarzutu, że jestem nadmiernie ścisły! Nie wymagam tej oboczności ze względów historyczno-gramatycznych, w oderwaniu od tekstu (aczkolwiek i do takiej ścisłości miałbym prawo w krytyce wydania naukowego, jakim jest wydanie sejmowe). Żądałem jej, gdyż nie chcę się uciekać do tłumaczenia Mickiewicza „licencją”, „provincializmem” lub „chwiejskością” wówczas gdy to jest niepotrzebne, gdy forma użyta przez poetę sama się tłumaczy gramatycznie i artystycznie.

Zbyt upraszcza zagadnienie J. K. Dębowski: gdy pisze, że praktycznie to i tak na jedno wychodzi, czy mianownik będzie miał postać męską (kontuz) czy żeńską (kontuza), skoro obok „kontuzów” mamy w „Panu Tadeuszu” dopełniacz „Alpów” i „zamieszaków”. Otóż to nie jest takie proste, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Badacz winien rozróżniać niegramatyczność („licencję”) od oboczności i świadomy dopełniacz archaiczny do archaizmu przypadkowego i „nawykowego”. Postaram się wykazać, że słuszne są moje żądania ścisłego rozróżniania i dokładnego opisu różnych osobliwości słownikarskich i gramatycznych w tekstach literackich.

Mickiewicz władał językiem polskim wybornie. Był mocno przywiązany do swej wy-mowy zachodniej. Można mówić o regionalnym zabarwieniu jego piśmiennictwa, o wileńskim dialekcie inteligentkim z przełomu XVIII i XIX wieku, ale nie o chwiejności gramatycznej. Nieregularne (w dzisiejszym naszym po-czuciu językowym) dopełniacze liczby mnogiej rzeczowników żeńskich są w „Panu Tadeuszu” wyjątkami. Nie są to licencje, lecz normalne formy archaiczne. Często nawet można widzieć w użyciu starszych form za-mysł artystyczny. Nie bez powodu zjawiają się one w eposie, serdecznie i rzewnie wspominającej minione czasy.

Rozpatrzmy po kolei podane przykłady. Ścisłość zarówno naukowa jak literacka nie pozwala na odrywanie tych wyrazów od kon-tekstu. Zaczę od „zamieszaków”:

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem,
Dziedzictwo starożytny rodziny Horeszków;
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszaków.

Tu ważny jest zarówno kontekst treściowo-uczuciowy, jak i formalny, końcówka rymowa. W wydaniu „Pana Tadeusza” Biblioteki Narodowej czytamy komentarz prof. Pigoń: „dzisiaj: zamieszek — tj. wojny polsko-rosyjskiej 1792 r.”. Nie zapominajmy, że jest to komentarz popularny. Czytelnik literacko-wykształcony, nie mówiąc już o miłośniku Mickiewicza, nie może poprzestać na takim wyjaśnieniu. „Zamieszaków” to dopełniacz star-y. „Od XVI w. — powiada Jan Łoś — tra-fiają się formy na — ow także od rzeczowni-ków żeńskich np. podwodów, ręków; formy te mnożą się zwłaszcza w w. XVIII, ale wkrótce znikają na zawsze i utrzymują się tylko w niektórych gwarach ludowych np. rę-ców i nogów; dziś mówimy także nudów i mo-dłów”. („Krótka gramatyka historyczna języka polskiego”, Lwów, 1927, str. 118).

Gramatyka historyczna daje tu nam do ręki klucz artystyczny. Pojawienie się form osiemnastowiecznych w narodowej eposie ma swój sens głębszy, artystycznie-ideowy i formalny. Prof. Pigoń przedstawił w dziele „Pan Tadeusz” wzrost — wielkość — sła-wa” (Warszawa, 1934), ile ciekawych zwią-zków łączy „Pana Tadeusza” z polską tradycją literacką XVIII wieku. W cytowanym ustępie gra pewną rolę impuls uczuciowy, wspomnie-nie przeszłości, stylizacja i co tu mówić, tak-że impuls formalny — rym do „Horeszków”. Ze względu na walor „historyczny” omawia-nych „zamieszaków” przypominam, że używał tego dopełniacza Naruszewicz; Linde podaje następujący przykład z jego historii: „Cze-chowie dla siebie z zamieszaków polskich szu-kali korzyści”.

Dopełniacz „Alpów” ukazuje się pod koniec pierwszej księgi „Pana Tadeusza”, w sławnym miejscu poświęconym Napoleonowi:

Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych
Od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych

W tym miejscu objaśnia prof. Pigoń, że do-pełniacza „Alpów” używano z końcem XVIII i początkiem XIX wieku. Jak widzimy forma ta zjawia się w ustępie patetycznym, w epic-kiej emfazie, Ostrożność jednak nie pozwala mówić w tym miejscu o świadomej stylizacji, ponieważ mamy dowody w listach poety, że posługiwał się on tym archaicznym dopełnia-czem także na co dzień. Do Jana Czeczota do Ufy pisał z Genewy 9 października 1830 roku:

„Przez ten czas wyjeżdżiłem Włochy na wzdłuż i poprzek od Sycylii do Alpów...” Zdaje się, że mamy tu archaizm filomacki i pseudokla-syczny, bo forma „Alpów” rozpowszechniona była zwłaszcza w literaturze naukowej, przy-rodniczej, geologicznej i historyczno-geografi-cznej. Przykładu na dopełniacz „zamieszaków” nie przypominam sobie z korespondencji poety.

Starszy od Mickiewicza poeta, Alojzy Fe-liński, użył w tłumaczeniu „Wieśniaka” De-lilla genetiwu „Alp”. Mowa o sztuce ogrodni-czej i cudach aklimatyzacji, pozwalających wysokogórskim roślinom kwitnąć na nizinach:

Tak Szczodrzeńce zstąpiwszy z śnieżnych Alp
siedliska
Uśmiecha się i złotym dla nas kwiatem błyska.

Dodajmy, że przekład Felińskiego ukazał się w „Dzienniku Wileńskim” w roku 1806 (mie-siąc luty, str. 224). Forma używana przez Mi-ckiewicza świadczy o indywidualnym zwy-czaju językowym, który nazywam archaizmem przypadkowym i „nawykowym”.

Każdy pisarz i każdy zresztą człowiek ma w swym języku takie „separatyzm” słowni-karskie i gramatyczne, które nie mieszczą się w ramach jego ogólnego systemu językowo-literackiego.

Nie rozporządzam materiałem odpowiednim, żeby powiedzieć, czy środowisko wileńskie było językowo bardziej konserwatywne od warszawskiego, choć purystyczna działalność braci Śniadeckich jest znana. Nie wiem, czy język Zygmunta Krasińskiego można wyja-snić środowiskiem salonowym, czy też raczej trzeba go tłumaczyć młodzieńczością autora „Nie-boskiej”, dość że dopełniacz „Alp”, użyty przez niego w „Przedświcie”, nadaje odpow-iadniemu ustępowi tego poematu, przynaj-mniej w moim odczuciu, ton elegijnej kon-wersacji, lirycznego wspomnienia:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?

Widzę jeszcze, widzę ciebie:
Z harfą stołsz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Znad Alp szczytu księżyc wschodzi.

Podobnie jak Krasiński, przedstawicielem młodszego pokolenia i, dodajmy, trochę for-macji salonowej był Juliusz Słowacki. W „Szwajcarii” mamy również młodszy do-pełniacz „Alp”. Bohater zastanawia się, jak sobie odmalować postać ukochanej we wspom-nieniu:

Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżycu blasku biała lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa.

Zauważmy, że ten salonowy Słowacki (pod względem języka i stylu) w epoce mistycznej znacznie patetycznie archaizować („Król Duch” to też epos z zamierzchłej przeszłości).

W świetle powyższych uwag dostatecznie się tłumaczy wystąpienie starych dopełniaczy w opisie uczty staropolskiej w księdze XII.

I tu jednak nie wszystko idzie pod jeden strychulec. Czy kontuz, czy kontuza? Rzecz prosta, iż na to nie ma w tekście dowodu materialnego. Taką samą śmiesznością było-by upierać się, że poeta użył formy męskiej, jak twierdzić, że to archaiczny dopełniacz formy żeńskiej. Znany niewątpliwie Mickie-wiczowi autor staropolskich podręczników kucharskich Stanisław Czerniecki daje w obu swych dziełkach przepis na „kontuzę dla cho-rych” (por. „Stół obojętny to jest pański a oraz i chudopacholski”, Wilno, 1744, str. 110 i „Compendium ferculorum, albo zebranie po-traw”, Kraków, 1753, str. 134). Linde stawia jednak na pierwszym miejscu kontuz”, na drugim „kontuzę”. Może to nie przypadkowe? Dalej trzeba wziąć pod uwagę, że dopełniacz „kontuzów” występuje w „Panu Tadeuszu” w towarzystwie zarówno regularnych mę-skich „arkasów” i „blamasów” jak wyraźnie stylizowanych „brunelów” i „pinelów”. Sło-wem na dwoje babka wróżyła. Natomiast do-pełniacze „figatelów” i „pinelów” to archai-zacja pewna i dobrowolna, stylizacja czysta, bo nie psułyby rymu końcówki figateli-pinelu.

Zauważmy, że Czerniecki zna tylko dopeł-niacz „figatel” (por. „Stół obojętny”, str. 7), a Linde tylko „figateli”. Intencja artystyczna zaważyła nad dokumentaryzmem. Mamy tu typowy przykład ultra-archaizmu! Nie jest to zwyczajne wyrównanie gramaty-czne lecz funkcjonalnie-literacko-gramatyczne. Jeśli uwzględnimy fakt, że staropolszczyzna posiada wyraz „kontuz”, to z powodu „kon-tuzów” nie będziemy musieli mówić o archai-zmie fleksyjnym, lecz wolno nam będzie mówić tylko o archaizmie leksykalnym.

Poeta, jak widzimy, posługuje się formami starszymi, żywymi jeszcze przeważnie w cza-sie jego studiów uniwersyteckich, z powodów technicznych (rym „zamieszaków” do „Horesz-ków”) oraz dla uzyskania odpowiednich efek-tów literackich. Mamy w tym szczególe za-równo mickiewiczowski zmysł dla konkretów, ślad studiów poety nad historią i literaturą staropolską, jak i odbicie romantycznego hi-storyzmu, couleur językowy. Jak wiadomo, Mickiewicz w dobie wykładów w Collège de France zajmował się z obowiązkami dziejami i gramatyką języków słowiańskich i zostawił nawet szczątki pracy językoznawczej (próby etymologiczne w tomie piątym wydania sejmowego). Te wszystkie względy wymagają, żeby sprawę przytoczonych „kontuzów” i inne podobne traktować w komentarzach, przynaj-mniej naukowych, starannie i wszechstronnie. To nie pedantyzm, lecz po prostu wymagania literackie.

„Nieścisłością” również według J. K. Dę-bowskiego ma być fakt, że nie zająłem się „najosobliwszym niedomaganiem” wydania „Książki”, czyli korektą. Nie zajmowałem się korektą świadomie, bo za korektę odpowiada redaktor techniczny, to jest człowiek nie ma-jący nic wspólnego z filologią i nauką. W recenzji zaś poświęciłem uwagę redaktoro-m naukowemu. Szło właśnie o to, żeby wy-dawca nie mógł się bronić błędami druku lub pośpiechem technicznym (na co usilo-wał złożyć winę za pierwsze, nieznanne mi, podobno naprawdę skandaliczne wydanie).

Nawiasem mówiąc nie zgadzam się z J. K. Dębowskim, żeby korekta, zwłaszcza dzisiaj, gdy brak odpowiednich sił zecerskich, była „najosobliwszym niedomaganiem” tego wy-dania. Za największe niedoganie uważam niefachowość; za najosobliwsze zaś progra-mową zmianę interpunkcji i pisowni, czyli nieodpowiedzialne poprawianie tekstu, który został odpowiedzialnie i obowiązująco usta-lony w wydaniu sejmowym. Tą sprawą też się nie zajmowałem, jak wielu, wielu innym, które się nasuwają przy studiowaniu tego sławnego wydania (np. sprawa społeczna: dlaczego robotnika polskiego i chłopą trak-tuje się dzisiaj po macoszemu w dziedzinie kulturalnej, dając mu do ręki klasyczną tan-detę wydawniczą zamiast klasycznych wy-dań pisarzy polskich).

Pominięcia tego nie uważam jednak za „nieścisłość”. Każdemu wolno pisać recenzje i uwagi krytyczne w takim zakresie i w taki sposób, jaki uzna za stosowny i jakiemu może podołać. Krytykę tekstu zostawiłem redaktorom wydania sejmowego. Rewizja tekstu, jaką trzeba było podjąć wskutek zmi-ań pisowni, to sprawa zbyt delikatna, żeby pozwolić na to dyktantom. Do tego zadania jedynie powołanymi ludźmi byli członkowie komitetu wydania sejmowego. Z wieku im i z urzędu ten zaszczyt należał.

ZOGÓLNOPOLSKIEGO SALONU W WARSZAWIE



ALEKSANDER RAK

Lista rozstrzelanych

Wacław Kubacki

Katolicy polscy wobec lewicy

List otwarty do red. Jerzego Turowicza i red. Wojciecha Kętrzyńskiego

Pod koniec czerwca br. odbyły się dwa bardzo znamienne zebrania dyskusyjne w krakowskiej „Kućnicy” pod hasłem: socjalizm, komunizm i katolicyzm. Ze tego rodzaju „rodaków rozmowy”, będące dużym novum w naszej rzeczywistości (zwłaszcza krakowskiej) doszły do skutku, należy się prawdziwa wdzięczność redakcji „Odrodzenia”.

Wymiana zdań pomiędzy marksistami i katolikami była pożądana, ale celem jej nie mogła pozostać mniej lub bardziej udane wypowiedzi, czasem frapujące swą finezją i błyskotliwością (Sieradzki), czasem naładowane pasją (Przyboś), to znów ujmujące bezpośrednią szczerością (Otwinowski). Nie! Celem musi być: krok naprzód.

I ten krok naprzód można by zrobić u nas, gdyby obóz katolicki w Polsce chciał tego naprawdę, jak to uczynił obóz katolicki we Francji (nie licząc bardzo drobnej grupy zachowawczej, która ostatnio przy głosowaniu za votum zaufania dla katolickiego premiera Bidault i jego gabinetu wstrzymała się od głosowania).

Klasycznym przykładem dzisiejszego stanowiska obozu katolickiego w Polsce była wypowiedź czołowego publicysty tego obozu, Jerzego Turowicza, który w swym bardzo starannie opracowanym zagajeniu, wygłoszonym z głębokim przekonaniem i w nienaganej formie literackiej, bardzo dyskretnie unikając praktycznych konkluzji, nasuwających się każdemu konsekwentnemu obserwatorowi dnia dzisiejszego.

Uczynił to red. Turowicz dyskretnie, ale tak wyraźnie, że wszyscy uczestnicy tego poważnego zebrania musieli zwrócić uwagę na ten manewr.

Zdając sobie doskonale sprawę z ogromnej doniosłości tego manewru, zdecydowałem się na ten list otwarty, wiedząc, że słowo, rzucone w ścianach sympatycznej „Kućnicy”, przebrzmie — i (poza echem w takim czy innym sprawozdaniu dziennikarskim) nie zostawi żadnego śladu realnego.

Manewr red. Turowicza mieścił w sobie dwa ważne elementy zasadnicze.

Pierwszym z nich jest zdecydowane odsuwanie prób analogii ze stosunkami we Francji.

Red. Turowicz próbował wmówić w nas, że cały postępowy obóz katolicki we Francji „tak znowu” nie współpracuje ze socjalistami i komunistami, jak to się zwykle mówi.

Wiemy, że jest inaczej niż to usiłował nam sugerować red. Turowicz. Ze jest inaczej, świadczą o tym choćby nawet stronic „Tygodnika Powszechnego”, który red. Turowicz firmuje. Trudno przypuszczać, żeby red. Turowicz zapomniiał o umieszczonych tam artykułach (Karolczyka i in.) w tej materii, stwierdzających fakty współpracy katolików francuskich z obozem tamtejszej lewicy, z marksistami francuskimi, jasno i bez wątpliwości.

Drugim elementem w tym przemysłanym manewrze jest niechęć do dzielenia katolików w Polsce na „postępowych” i „zacończonych”. Katolicy są — według przekonania red. Turowicza — jednolitym blokiem. Nie można mówić o jakimś rozszczepianiu katolików na dwa obozy.

Na marginesie tego przekonania red. Turowicza należy stwierdzić, że jest ono pobożnym życzeniem nie tylko jego, ale wielu innych tradycjonalistów, którzy uważają, że zachowawczość bardziej harmonizuje z pojęciem katolika niż postępowość.

Ale to nie przeszkodziło red. Turowiczowi, że w swym obszernym zagajeniu wysypał całe narecza pochwał pod adresem postępowych katolików francuskich, rejestrując ich znakomite osiągnięcia organizacyjne i polityczne.

I tu chciałbym zadać red. „Turowiczowi” zasadnicze pytanie: czy obóz, którego jest czołowym reprezentantem w dziedzinie publicystyki, pragnie szczerze głębokich i postępowych reform społecznych, czy do reform już dokonanych ustosunkowuje się naprawę polityczną? Od odpowiedzi na to pytanie musimy uzależnić pojęcie katolika postępowego, albo — zdaje mi się raczej — r a d y k a l n e g o. Wolę ten termin, bo on oddaje lepiej ustosunkowanie się do przemian społecznych. I przeciwstawiam mu termin: z a c o n c z o n y. Zachowawczym katolikiem nazywam c z y. Zachowawczym katolikiem nazywam katolika, który ustosunkowuje się negatywnie do reform społecznych. Taki zachowawczy katolik nie musi być w ścisłym tego słowa znaczeniu „zacończony”. Mamy bardzo kulturalnych b. obszarników i b. wielkich fabrykantów...

Czy red. Turowicz chce, czy nie chce, tylko o r a d y k a l n i katolicy mogą stanąć obok lewicy — do realizacji wielkiej przebudowy społecznej.

I tylko radykalni katolicy mogą pokusić się o odegranie wielkiej roli w układzie sił nowej rzeczywistości polskiej, analogicznie jak to widzimy we Francji.

Gallia docet. Stanowisko, jakie zajął w dniu 29 czerwca b. r. red. Wojciech Kętrzyński, czołowy przedstawiciel grupy „Dziś i Jutro” i kierownik krakowskiego oddziału organu tej grupy, za-

stępuje również na wzmiankę, jako bardzo znamienne dla nastrojów panujących — w chwili obecnej — w obozie katolickim w Polsce.

Grupa „Dziś i Jutro”, jeśli ją przyszło mierzyć wypowiedziami na łamach jej tygodnika, ma ambicje odegrania roli o s r o d k a postępowych katolików w Polsce. Tymczasem — jak to słusznie zauważył Stefan Kisielewski — panowie z grupy „Dziś i Jutro” postawili sobie wprawdzie za zadanie przerzucić pomost między katolicyzmem a obozem głoszącym hasło radykalnej przebudowy społecznej, ale — gdy przychodzi do konkretnej odpowiedzi, jakiego radykalizmu społecznego pragnie „Dziś i Jutro”, jaki jest istotny i sprecyzowany ściśle stosunek tej grupy do jej podstawowego hasła i postulatu, wówczas natrafiamy tam na osobliwą niechęć do postawienia jasno tego zagadnienia. Słusznie też wyzywa Kisielewski przywódców tej grupy do otwartej wypowiedzi: c o m y ś l a o obecnych reformach w Polsce, i do dokładnego określenia pojęcia katolickiego radykalizmu w społecznym. („Tygodnik Warszawski”, nr 25 z dnia 23 czerwca b. r.).

Red. Kętrzyński też nie uchylił rąbka tajemnicy w swej wypowiedzi w „Kućnicy” krakowskiej.

Ale to, co powiedział, wystarczy do sprecyzowania spostrzeżenia, że grupa ta nie chce również zrobić (przynajmniej dziś) tego jed-

nego kroku naprzód, o jakim wspomniałem wyżej.

Kiedy red. Kętrzyńskiemu, inteligentnemu i poważnemu publicyście, nie mogącemu nie widzieć pytania, wiszącego na ustach wszystkich, przyszło odpowiedzieć: czy stanąć do współpracy z marksistami w Polsce — wycofał się. Zaczął nas przekonywać, że odpowiedź na to pytanie jest uzależniona od załatwienia tego zagadnienia w skali ogólnopolskiej, że trzeba o d c z e k a ć u nas. Ale przecież całkiem inaczej postawili tę sprawę katolicy we Francji i wygrali poważną stawkę dla katolicyzmu...

Red. Kętrzyńskiemu nie wolno jednak zapomnieć, co pisał na łamach tygodnika „Dziś i Jutro” Ludwik Baranowski, który wyraźnie i zdecydowanie wypowiedział się za wspólnym marszem katolicyzmu i marksizmu w dziedzinie reform społecznych — dziś. Baranowski wylicza aż siedem odcinków tego „wspólnego marszu”. Można je — bez trudności — pomnożyć o dalsze siedem.

Red. Kętrzyńskiemu nie wolno również zapomnieć o kłopotliwym położeniu, w jakim znalazła się grupa „Dziś i Jutro” po opublikowaniu mej broszury p. t. „K a t o l i c y r a d y k a l n i” (Warszawa, 1946, Państwowy Instytut Wydawniczy). Broszura ta była i jest wyraźnym wyznacznikiem pod adresem grupy, która nie ma odwagi postawić kropki nad i.

„C h c i a ł a b y i b o i s i ę”... Pisze czasem z goryczą o tych katolikach z prawego skrzydła, którzy jej nie rozumieją, ale nie zdobyła się dotąd na stanowczy gest samodzielny.

Mam obawy, że zmarnuje tę wspaniałą okazję, jaką ma w obecnym układzie sił.

W broszurze wspomnianej przysięgałem red. Kętrzyńskiemu i jego najbliższym współpracownikom (z red. Witoldem Bieńkowskim na czele) ich własnymi, naprawdę pięknymi i aktualnymi wypowiedziami o charakterze zasadniczym. P o d e j m u j ę ż a g i e w z i c h w ł a s n y c h r ą k i p o d p a l a m i c h w ł a s n e s z e r e g i, bo myślę, że z tej grupy może powstać załóżka jakiegoś polskiego M. R. P., polskiego „ruchu republikańsko-ludowego”. Czasem jednak budzą się we mnie poważne wątpliwości...

Red. Kętrzyński nie jest temu winien, że reprezentuje grupę, która wciąż jeszcze boi się wystąpić na arenę życia publicznego w Polsce z otwartą przybitką. Jest wierny nastrojom, które w tym środowisku decydują. Ale te nastroje nie są zgodne z podstawowym założeniem, jakie położono u kolebki tej grupy. Stwierdzają to nie tylko przeciwnicy, ale i sympatycy tej grupy.

Mój list otwarty do red. Turowicza i red. Kętrzyńskiego, jak widać z jego treści, nie jest tylko echem poważnej dyskusji. Nie mam też zamiaru przekonywać tylko tych, do których ten list adresuję.

Przeznaczam go dla wszystkich ludzi dobrej woli — w Polsce.

Pragnę i to bardzo gorąco w s k a z a ć wszystkim, którym sprawa harmonijnej współpracy dla świetlanej przyszłości Polski leży na sercu, na nastroje, jakie panują w obozie katolickim w Polsce i na jego wielkim skrzydle prawym, zachowawczym i na jego skromnym, początkującym skrzydle lewym.

Oba te skrzydła, jak widać, nie objawiają dziś na razie zamiaru wyciągnąć rąk do współpracy z lewicą w Polsce. Stan ten wyrósł z podłoża braku zaufania.

Wstawiony walką z hitleryzmem, znakomity arcybiskup monachijski, kardynał Faulhaber, słusznie stawia na pierwszym planie „p r z y k a z a n i e c z a s o w d z i s i e j s z y c h: u f a j c i e s o b i e w z a j e m n i e!”.

Ale iluż katolików u nas przekreśla to przykazanie, pleniąc zarazki nieszczerości, nieufności na podłożu intrygi i insynuacji, zatrujących atmosferę współczesnego życia publicznego w Polsce.

Zarazki te unoszą się również i na sali obrad krakowskich podjętych pod hasłem: socjalizm, komunizm i katolicyzm.

Katolicy wycofują się nieufnie na stanowisko obserwatorów, rezerwy, w najlepszym razie defensywy.

U w a ż a m t o s t a n o w i s k o z a b ł ę d n e.

I — do ostatniego tchu powtarzać będę hasło prymasa Belgii, kardynała Van Roeya:

„Jeżeli budowa nowych czasów dokona się bez katolików, dokona się przeciw nim”...

Hasło to zrozumieć katolicy na Zachodzie, przede wszystkim we Francji. Katolicy w Polsce powinni pójść — jak najrychlej w ich ślady. To jest moje głębokie przekonanie.

30 czerwca 1946 r. ks. Henryk Weryński

W sprawie społecznej roli sztuki

W artykule „O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa” („Odrodzenie”, nr 80) omówiłem zjawisko zaniku społecznego znaczenia właściwe wielu odłomom współczesnej sztuki. Zjawisko to ująłem jako wynik przerostu indywidualizmu, będące klasycznym wyrazem ustroju kapitalistyczno-liberalnego. Wspomniałem artykuł wywołał odpowiedź J. Przybosia („Odrodzenie”, nr 84) utrzymaną w niezwyklej tonie, o czym świadczy następujące zestawienie wybranych fragmentów:

„Autor wszystko napisał na serio! To nie persyflaż, to nie chwilowa poza, nie udawanie Dyzya, ale niemal że ex cathedra głoszona teza profesorska. Autor głosi to wszystko z powagą, więcej: z namaszczeniem i poczuciem dostojności, używając pluralis maiestaticus”.

„— ujawniła mi się na konkretnym przykładzie jego „absolutna niemożność”, jego brak wrażliwości plastycznej”.

„W istocie nagromadził w swojej rozprawce — nie wiadomo po co — stos rupiecica z historii sztuki i historii w ogóle”.

„— pisze sobie spokojnie tej podobne szkolne bajdurki z miną, jakby odkrywał znamienitą prawdę”.

„— historyk sztuki i krytyk w jednej osobie, używającej pluralis maiestaticus”.

„Humorystyczna charakterystyka kierunków artystycznych, horrenda, jakie śmiało wygłasza na temat malarstwa Cézanne’a i Bonnard’a — są przykrym i zawstydzającym dowodem”.

„Tylko, że precyzja wynika z oka czulego na plastykę, z oka malarzkiego, a nie z oka,

szukającego w obrazie stołka do siedzenia, czy sałaty na obiad”.

„Próba oka dała wynik negatywny”.

„— w gruncie rzeczy ądzie mu nie o obraz, lecz o ten stołek stolarza i półmisek z sałatą”.

„— gdyby przyjął taką postawę badawczą, nie wygłaszałby w pluralis maiestaticus — manifestów”.

„Dawno już nie czytałem wypowiedzi tak nieodpowiedzialnej jak artykuł Dobrowolskiego: nie mając nic do powiedzenia, obwieścił majestaticznie manifest — czego?” itd. itd.

Polemika jest niezbędnym narzędziem w walce o prawdę naukową, o słuszną postawę wobec życia, o takie czy inne pojmowanie zadań sztuki. Aby jednak wiodła ona do celu, musi posiadać odpowiednią formę i musi stać na odpowiedniej wyżynie rzeczowej. Cytaty powyższe z artykułu J. Przybosia rzucają jasne światło na wytworność jego manier polemicznych. Szczególnie uderza kilkakrotne atakowanie mnie z powodu używania przeze mnie formy „my zamiast ja, co ma świadczyć o moim „namaszczeniu” i „poczuciu dostojności”. W istocie rzeczy używanie formy **my** jest w naszej literaturze naukowej i publicystycznej od dawna używaną postacią w tym celu, aby unikać pretensjonalnego ja. Zwyczaj ten przyszedł do nas z zachodniej Europy; szczególnie silnie pielegnowany we Francji, gdzie używanie ja uważa się raczej za objaw niewłaściwego tonu. Stąd skromniejsze **my** jest w częstszym użyciu.

W tych warunkach nie zamierzam prowadzić polemiki z J. Przybosiem. Zagadnieniom zaś poruszonym przeze mnie w „Odrodzeniu” poświęcę nowe uwagi.

Tadeusz Dobrowolski

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia”

Zbyszko Bednorz: Po wydaniu w grudniu 1945 r. u Jana Kuglina bibliofilskich „Glossów śląskich”, ogłosiłem niedawno drukiem w tym samym wydawnictwie poemat osnuty na tle bojów pod Górą św. Anny, zatytułowany „Strofy serdeczne”. W tej chwili drukuje się u Michała Kowalskiego drugie wydanie „Glossów” (ozdobione drzeworytami Jakubowskiego). W najbliższym czasie wyjdą moje dwie prace: pierwsza będzie wznowieniem, wydanej w konspiracji w Warszawie w r. 1943, książki pt. „Śląsk wierny Ojczyźnie” (nie mogę się tu powstrzymać od stwierdzenia, że była to pierwsza w ogóle praca stawiająca i wyjaśniająca trudne problemy, m. in. narodowościowe, Śląska; do tego, które tam postawiłem, czynnik oficjalne doszły dopiero po długich i tragicznych w skutkach błędach w r. 1945); druga — zbiór notowanych na gorąco wrażeń z pierwszych tygodni i miesięcy wyzwolenia Opolszczyzny, wychodzi w redakowanej przez Helsztyńskiego Biblioteczce Ziemi Odzyskanych, pod tytułem „Od Opola do Wrocławia”. Przygotowuję do wydania wiersze, nie związane tematycznie z firmującym moje nazwisko regionem; są to wiersze o zaginionej ziemi i zaginionym człowieku; obiecałem wydać Z. Z. L. P. (oddział katowicki) w swym „Arkuszu”. Poza tym ciągnę z Szewczykiem „Odrę”. Zamierzam na najbliższą metę mam kilka, lecz nie znozę ich publicznej rejestracji.

Roman Kiełkowski: W marcu br. wydałem w Krakowie u Stefana Kamińskiego tom wierszy pod tytułem „Desant niebieski”. W tece mam trzy dalsze tomy gotowe do druku, dwie sztuki teatralne oraz zaczęta powieść.

Chciałbym wiersze wydać, sztuki wystawić i ukończyć powieść. Zamierzam też wyczerpują w całości program moich prac literackich na najbliższą przyszłość.

January Kołodziejczyk: Podczas wojny wykończyłem pracę „W poszukiwaniu źródeł do botanicznej księgi Herbarza Falimira”. Pracę tę przelałem do Komisji Historii Medycyny i Nauk Przyrodniczo-Matematycznych Akademii Umiejętności. Obec-

nie drukuje się w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych mój podręcznik botaniki opracowany na zamówienie i według programu Ministerstwa Oświaty. W przygotowaniu mam nowy podręcznik dla liceów i szkół zawodowych; będzie to już dwuletni typ podręcznika botaniki, w którym zamierzam dać syntezę wszystkich możliwości, jakie przeszło ćwierćwiekowe pracy w tej dziedzinie; opracowanie podręcznika według własnego, a nie narzuconego programu, to wielka przyjemność i wdzięk tej pracy.

Od kilku lat mieszkam w uroczym Zalesiu pod Warszawą i tutaj rozpocząłem pracę nad książką „Roślina a człowiek”. Temat bardzo obszerny, można całe życie pisać i nie skończyć; postanowiłem więc opracować następujące rozdziały: U świtu dziejów, w służbie czarów i miłości, w służbie odżywiania, w służbie zdrowia, narkotyki i napoje, w służbie gospodarstwa i przemysłu, motywy roślinne w podaniach, symbolic, literaturze i sztuce, w służbie tradycji i życia codziennego i wreszcie rośliny-przyjacieli (ogrody).

Opracowanie jednak takiej książki, przy braku źródeł i literatury, może potrwać długo; postanowiłem więc niejako rozparcelować jeszcze nieukończoną książkę i poszczególne rozdziały drukuję w miesięcznikach popularno-naukowych. Zresztą całej tej pracy zawdzięczam poznanie historii naturalnej Pliniusza.

Po prostu pasjonuje się tym dziełem; mam nadzieję, że spełnia się moje marzenie opracowania wpływu Pliniusza na nasze leśnictwo i przesady ludowe. W stosunku do tego znakomitego pisarza jestem bardzo grzeszni. „Historia naturalna” Pliniusza nie była tłumaczona na język polski nawet fragmentarycznie. Korzystając więc z doskonałych warunków i fachowej pomocy przystąpiłem do tłumaczenia ciekawych ustępów tego dzieła. O jakimś wydaniu w tej chwili nie myślę wcale. Ustępy ciekawsze postanowiłem również posłać do druku pismom popularno-naukowym. Miesięcznik „Rzeczy ciekawe” przyjął do druku większy fragment pt. „Rady gospodarcze sprzed 1900 laty”. Jak mi się zdaje, będzie to pierwsze tłumaczenie większego fragmentu z tego, mającego tak doniosły wpływ na naszą dawną kulturę, dzieła.

JUŻ POJAWIŁA SIĘ
NA PÓLKACH WSZYSTKICH KSIĘGARŃ
OCZEKIWANA OD DAWNA KSIĄŻKA

ARKADY FIEDLER

DZIĘKUJĘ CI
KAPITANIE

STR. 237 10 ILUSTR.

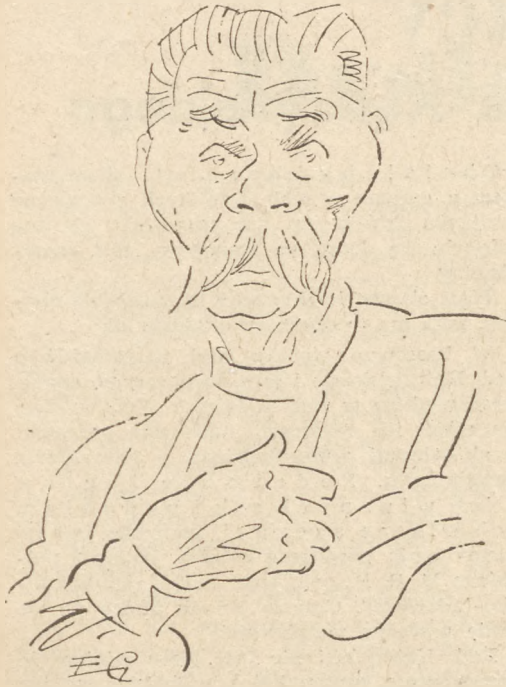
Cena
220
ZŁ

NAKŁADEM
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
»CZYTELNIK«

*) Por. odpowiedź w nr. nr. 68-85 „Odrodzenia”.

Kronika ilustrowana

rys. E. Glowacki



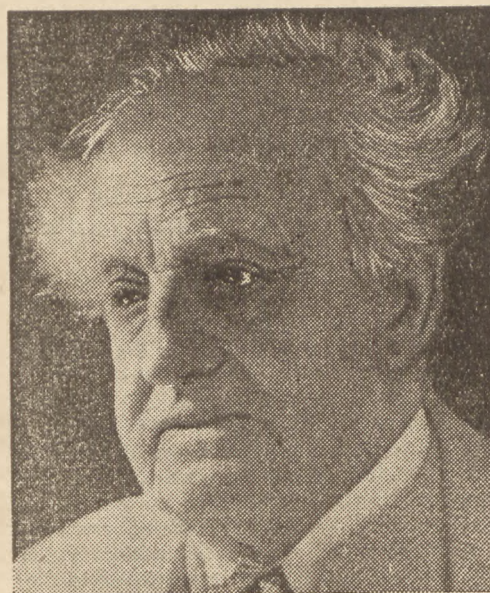
MAKSYM GORKIJ

W czerwcu br. minęło 10 lat od śmierci znakomitego pisarza rosyjskiego



JÓZEF MEHOFFER

wybitny malarz polski zmarł dnia 8 bm.



GERHART HAUPTMANN

znany pisarz niemiecki zmarł 6 czerwca br. w Jagińtkowie na Dolnym Śląsku



EWA BANDROWSKA-TURSKA

nasza śpiewaczka odniosła wielki sukces artystyczny w czasie pobytu w ZSRR

Ostatnie ataki „podziemia”

Konferencja paryska. Ilość „nie” na trzecie pytanie referendum. Pogrom kielecki. Te wszystkie fakty, pozornie od siebie odległe, pozostają ze sobą w ścisłym związku. W miarę dochodzenia do porozumienia między mocarstwami anglosaskimi a Związkiem Radzieckim, w miarę stabilizacji powojennego układu stosunków, w miarę zbliżania się do traktatów pokoju — usuwa się grunt spod nóg faszystowskiego podziemia w Polsce. Istnieje ono przede wszystkim dzięki podsycanej przez siebie — a także i z zewnątrz — wierze, że żyjemy w okresie prowizorium. Z chwilą gdy czynniki zewnętrzne przestaną tę wiarę podsycać, usunie się pierwsza podstawa agitacji podziemia — a przestaną one tę wiarę podsycać, gdy stosunki międzynarodowe się ustabilizują, sceptycyzm wobec teorii „prowizorium” zacznie wzrastać i w kraju. Dlatego — rozumują przywódcy polskiego faszyzmu — trzeba wyzyskać ostatnie momenty, trzeba przed porozumieniem międzynarodowym doprowadzić kraj do wrzenia, bo potem będzie za późno.

Metody, przy których pomocy utrzymuje się kraj w stanie wrzenia, świadczą o metodach, przy których pomocy zamierza się rzadzić, jeśli się dojdzie do władzy. Choćby samobójstwo narodowe, jeśli to pomoże do dojścia do władzy — oto motywy agitacji za „nie” w odpowiedzi na trzecie pytanie. Choćby mordowanie własnych współobywateli, jeśli to zaznaczy solidarność z naszym hasłem „Polski bez Żydów” — oto motywy wypadków kieleckich. I nie pomogą tu żadne potępienia. Lata 1933—1945 nauczyły nas, że wystarczy pierwszy krok na drodze nienawiści między współobywatelami, by następne kroki stały się nieuniknioną koniecznością. Jeśli się tłumowi powie „bojkot gospodarczy owszem”, jeśli się tłumowi mówi „pozbawienie praw politycznych owszem” — to polityk może nawet szczerze chcieć się na tym punkcie zatrzymać, ale tłum się nie zatrzyma. Tłum jest prostolinijny i „reservatio mentalis” nie przemawia do niego. Tłum wyciągnie wniosek: po co tylko bojkot gospodarczy i polityczny, kiedy przecież można wyróżnić i sprawę w ten sposób definitywnie załatwić. I choćby polscy nacjonalści obiektywnie słusznie mówili „my nie chcemy tak” — to prawda jest, że oni zasiali te owoce, które wzeszły. Nie chcieli się takich chwastów, ale z tego nasienia nie mogło wzrosnąć nic innego.

„Nie” na trzecie pytanie, wypadki kieleckie — dowodzą jeszcze czego innego. Nieprawdą jest twierdzenie, że w Polsce istnieją tylko dwa obozy polityczne: stronnictwa zbliżone do marksizmu i Mikołajczyk, że tylko między nimi toczy się walka o władzę. W Polsce istnieją trzy obozy polityczne: stronnictwa zbliżone do marksizmu, obóz chrześcijańsko-społeczny w swoim miejskim (Stronnictwo Pracy) i wiejskim (PSL) ugrupowaniu i podziemie faszystowskie. To, że trzeci obóz nie ma legalnego wyrazu, nie znaczy, by on

nie istniał. To, że chrześcijańsko-społeczne centrum odcina się od niego — nie znaczy, by mogło ująć władzę bez jego pomocy. Może ono albo rzadzić wspólnie w dotychczasowej kombinacji, albo rzadzić przy pomocy faszystów. A wtedy pierwszym aktem będzie musiało być sprowadzenie Bieleckich i Doboszyńskich i oddanie im współrzędów, drugim uznanie „żydokomuny” za organizację nielegalną i antypaństwową, a trzecim teza, iż nie potrzeba żadnych stronnictw politycznych, bo przecież wszyscy mogą się pomieścić w „Obozie Wielkiej Polski”. Mikołajczyk może być albo wykonawcą testamentu politycznego Wincentego Witosa z okresu kongresu „Centrolewu”, albo wykonawcą testamentu politycznego Romana Dmowskiego. Innej drogi nie ma.

Zalegalizowanie „podziemia”, powstanie legalnego stronnictwa faszystowskiego, byłoby w konsekwencji klęską taktyki PSL. W miejsce obecnego hasła „my albo oni”, „my mamy za sobą większość” — ujawniłby się stan faktyczny: albo chrześcijańsko-społeczne centrum ze stronnictwem w swej ideologii, mimo pozorów szacunku dla Kościoła, zdecydowanie wrogim doktrynie chrześcijańskiej i zdecydowanie antydemokratycznym, albo chrześcijańsko-społeczne centrum ze stronnictwami wobec nauki Kościoła obojętnymi, wyraźnie demokratycznymi. Ale czy można legalizować tych, którzy przy pomocy metod demokratycznych chcą likwidować demokrację. I wtedy dylemat, który tyle razy stawał przed społeczeństwami okresu międzywojennego: czy demokracji wolno, w imię czysto formalnie ujętych haseł wolności i równości, poświęcać treść każdej demokracji: niepozbawalne prawo każdego obywatela do wolności i równości. Czy demokracji wolno wejść na drogę, na której, na jednym z jej etapów, chwilowa większość może powiedzieć: odbieram, w imię tego, że mam dziś większość, wolność i równość obecnej generacji i wszystkim następnym. Stwarzam ustrój, od którego powrót na drogę demokracji jest możliwy tylko w drodze rewolucji. Tak formalnie rozumowała demokracja niemiecka. Tak formalnie rozumowali demokratyczni posłowie i senatorowie Francji, kiedy w lipcu 1940 oddawali Petainowi dyktatorską władzę. Skutki takiego rozumowania widzieliśmy w niedalekiej przeszłości.

I niech mi nikt nie tłumaczy, że polscy nacjonalści pod wpływem doświadczeń międzywojennych zmądrzeli, złągodnieli. Nacjonalści są zawsze mądrzy i łagodni, kiedy demokracji potrzebują, ale przestają i muszą przestać być mądrzy i łagodni, kiedy demokracji już nie potrzebują. Los Stanisława Grabskiego, los polityczny Stronńskiego, czy Komarnickiego, czy Winiarskiego wskazuje, że nacjonalści polscy nie zmądrzeli nawet w demokratycznym Londynie, że ci z nich, którzy się chcieli odciąć od faszyzmu, byli przez własny obóz odrzucani.

Konstanty Grzybowski

Na marginesie katalogu wystawy „Zbrodnie niemieckie w Polsce”

Wśród nawału wystaw, jakie przewijają się przez sale Muzeum Narodowego w Warszawie (a rozpiętość jest wielka: od francuskich rysunków do angielskiego lotnictwa), ostatnio otwarta wystawa „Zbrodnie niemieckie w Polsce” musi wzbudzić specjalne zainteresowanie, jako że pomyślana jest niewątpliwie „na eksport”, dla cudzoziemców. To już druga tego rodzaju ekspozycja — pierwszą była „Warszawa oskarża”. Właśnie w zestawieniu z pokazem „Warszawa oskarża” — wystawa obecna wypada niezmiernie słabo. Tamta ekspozycja tłumaczyła się jasno sama przez się, miała świetnie rozplanowane grupy obiektów, nie wymagała katalogów. Uzupełnieniem jej, a nie objaśnieniem była książeczka pod tym samym co wystawa tytułem, starannie napisana i wydrukowana, wydana po polsku, francusku, rosyjsku i angielsku. „Zbrodnie” nie tłumaczyła się w ogóle. Gmatwaniny obiektów nie rozjaśnia katalog, do którego jeszcze zresztą wróć. Wystawa jest po prostu zupełnie nieprzemysłana. Zebrano obfity materiał, niejednokrotnie niezmiernie ciekawy i charakterystyczny, pokazano nawet autentyczne narzędzia katuszy, szubienicę i gilotynę. Mimo to jednak wystawa nie wstrząsa. W przeładowanym (6 wystaw równocześnie) Muzeum, na różnych kondygnacjach tak zagęszczono gabloty i ekrany z fotografiami, że widz całkiem się gubi. Tym bardziej, że uwagę jego rozprasza niezmierna ilość eksponatów, często mało charakterystycznych, wśród których giną rzeczy najciekawsze, a obiekty najbardziej wzruszające tracą swoją grozę. Gablota z połamanymi szczoteczkami do zębów; obok niezmiernie słabe prace malarskie Słowińskiej; fotografie o powtarzających się motywach; prace artystów i dowody autentyczne; zdjęcia mało znaczących i ledwo czytelnych napisów na ścianach więzień — wszystko to pomieszczone tuż, gdy widz powinien być wzburzony, winien oglądać pokaz z wypiekami na twarzy!

Jak mówiłem, katalog niczego nie wyjaśnia. O ile wystawa jest słabo zorganizowana, to o katalogu nie można się inaczej wyrazić, jak — że jest dyletancki i niestaranny. Katalog jest dwujęzyczny: na lewych, parzystych stronach mamy tekst francuski, na nieparzystych — polski. Przypatrzmy się najpierw temu pierwszemu. Wystawa ma oczywiście swoje komitety organizacyjne, honorowe i protektoraty; w związku z tym spotykamy się z licznymi tytułami osób i instytucji. Oto jak przełożył je anonimowy tłumacz: Krajowa Rada Narodowa na „Conseil National de(!) Pays” — tłumaczenie szkolne, dosłowne, całkiem wypaczające sens istotny (urzędowo przekłada się Conseil National de Pologne). Ministerstwo Sprawiedliwości, to „de la Justice Publique; któż się domyśli co to znaczy „Conseil Central de Revision des Anciens Prisonniers Politiques”? itd., itd. Słowo „Conseil” jest dla tłumacza uniwersalne: na jednej stronie oznacza raz Radę, raz Wydział, raz Komisję. Poza tym tłumaczona są imiona, co sprawia niepoważne wrażenie (np. Venceslas Barcikowski). Zresztą nie zawsze imiona dają się przetłumaczyć: C. Łęskiemu pozostało Czesława, M. Kościelniak otrzymał Mieczysław, za to F. Friedman i w polskim tekście nazywa się filuternie Philippe, a Reder — Radorphe (!). Czasem tłumaczy się również nazwiska: np. w tekście francuskim zawsze mamy Borwicz, w tekście polskim tylko Borowicz. Motto podpisane jest Jean Girardoux (!). Domyśleć się łatwo, jak wyglądał sam tekst. Poza językiem francuskim na poziomie ucznia pierwszej klasy gimnazjum — masa błędów ortograficznych (zeczerskich?), zignorowanie akcentów.

Dosyć już francuszczyzny. Spójrzmy na polską stronę. Autor katalogu nie zrozumiał swego zadania: nie opisuje eksponatów, lecz treść, którą wyrażają. Tak np. nr. 12 — „Hitlerowiec przebrany za księdza” (czy to znaczy, że pokazano go w oryginale? Nigdzie nie wspomniano, że chodzi o fotografię, rysunek

czy coś innego); albo nr. 31 (str. 23) — „Hitlerjugend”. I już; ani słowa objaśnienia.

Alle rekordem wszystkich jest umieszczona na końcu katalogu bibliografia. Jest to po prostu spis chaotycznie rozrzuconych w kilku gablotkach wystawowych — wydawnictw, mających oczywiście z bibliografią zbrodni niemieckich w Polsce niewiele wspólnego. Zebrano 32 pozycje, a literatura przedmiotu, znana mi, przekracza sto tytułów. Wśród tych 32 mamy jedną angielską publikację i jedną „w druku”. Podano również (jako jedyną z bogatej literatury dotyczącej powstania warszawskiego) broszurkę Kirchmayera „Geneza powstania warszawskiego”, ze zbrodniarzami niemieckimi nie mającą oczywiście żadnego związku (chodzi przecież o genezę powstania), pominięto zaś chociażby wielki album „Zagłada żydostwa polskiego” (Łódź 1945). Przy tym, „bibliografia” z metodami bibliograficznymi nie ma nic wspólnego (nie przestrzega się ani ilości, czy ścisłości danych, ani kolejności pozycji).

Dodajmy do tego, że katalog „ozdobiony” jest dziesięcioma bardzo złymi technicznie i kiepsko dobranymi zdjęciami oraz pompacyjną i brzydką okładką, i że zawiadania o wystawie najgorszy ze wszystkich ostatnio rozklejanych plakatów (rysowała Ewa Słowińska) — a będziemy mieli zupełny obraz tej ze wszech miar nieudanej wystawy.

Niewątpliwie z pożytkiem dla nas było, że pokazano za granicą wystawę „Warszawa oskarża”; o ile jednak przewiezie się „Zbrodnie niemieckie w Polsce” w tym stanie, w jakim pokazano je w Warszawie — wydamy sobie złe świadectwo o naszym zmysle organizacyjnym, propagandowym i smaku.

Andrzej Ryszkiewicz

Neoantysemityzm

Naprzód Franciszek Bujak w artykule „Na nowym progu” („Wieś i Państwo”, 1946, nr 1) stwierdził lakonicznie a jednoznacznie:

„Doniosłą zmianę w załudnieniu stanowi poważny ubytek ludności żydowskiej, ale znaczenie tych, co pozostali i wracają obecnie z uchodźstwa, jest wielkie w każdej dziedzinie życia państwowego”.

To ale jest pełne treści. Można by ją zmieścić w całym tomie.

Potem Jan Sobek z Handzlówki, dobrze pojmując myśli wykładane w partyjnym miesięczniku, napisał w „Piaście” (nr 25):

„Wojna nas zniszczyła pod każdym względem, to fakt nam wszystkim dobrze wiadomy. Zniszczenia te są wszędzie aż nadto widoczne. Ale sprawiła ona i to, że pewne nasze postulaty ludowe, o które walczyliśmy i dopominaliśmy się bądź to w programie Stronnictwa, bądź to w prasie i na rozlicznych wiecach i zebraniach, wojna je (!) zaktualizowała i przyspieszyła tak szybko i radykalnie, że tego nawet nie spodziewaliśmy się.

Mieliśmy trzy olbrzymie wagi i znaczenia sprawy do załatwienia, a mianowicie: 1) to reforma rolna; 2) spolszczenie miast naszych, a 3) uprzemysłowienie kraju naszego.

Reforma rolna i spolszczenie miast zostały już częściowo załatwione”.

„Spolszczenie miast”, „już częściowo załatwione”, jest eufemistycznym określeniem totalnej rzezi Żydów, urzędzonej w Polsce przez Niemców. Aprobata wyniku jest widoczna, niezadowolone z faktu, iż pozostała resztówka, zaznaczone, podobnie jak u F. Bujaka („częściowo załatwione”).

Na koniec — w chronologicznej kolejności, wicepremier Stanisław Mikołajczyk po pogromie w Kielcach, w zasadniczym oświadczeniu wycyzelował subtelnie:

„Zgodnie ze swą tradycją i ideologią, wyznając zasady miłości bliźniego i tolerancji PSL przeciwnie jest wszelkiej walce politycznej czy rasowej w oparciu o siłę fizyczną” („Gazeta Ludowa”, nr 186).

Jasno wynika, że nie jest przeciwny wszelkiej walce politycznej czy rasowej w oparciu o siłę innego rodzaju niż fizyczna.

Chuligani w Kielcach nie odróżniają tak delikatnych dystynkcji. Wolą automaty, rury i kamienie.

Sam prokurator sądu okręgowego w Kielcach p. Wrzeszcz, na zjeździe delegatów Związku Zawodowego Pracowników Sądu i Prokuratury, odbytym w Łodzi, jak podaje jeden z dzienników, „gorąco i płomiennie przemawiał za niepotępieniem mordu w Kielcach”. Twierdził, że nie reakcja tego dokonała, że mord ten był „odruchem mas”. Jego wywodom towarzyszyły oklaski prezesów, prokuratorów, sędziów i urzędników.

Istotnie, prokuratorzy i sędziowie karmieni duchową strawą „Wsi i Państwa”, a masy pogadankami Jana Sobka z Handzlówki nie są zbyt odporne na gorsze jeszcze a mniej maskowane podstępny i zdobywają się na „odruchy”.

Ich rodzime źródła są dawne i dobrze znane. Reszty dopełniły lata niemieckie. Prof. Bujak ryzykuje twierdzenie, że „na lep tej propagandy nie poszło wielu Polaków. mimo nazwisk i imion niemieckich, inni zaś służbę niemiecką uważali za sposobność do służenia sprawie polskiej i ratowania rodaków”.

I ideowe nabytki, wyniesione z okresu praktykowania owych wzniosłych, patriotycznych cnót w służbie niemieckiej, zachowują, kultuwają, szerzą i wprowadzają w życie po wojnie i okupacji.

js

Przegląd prasy

Znaczenie, jakie wszyscy w tworzącej się nowej Polsce musią przypisać młodzieży, każe większą niż dotychczas uwagę zwrócić właśnie na wydawnictwa młodzieżowe i dla młodzieży. Jest ich sporo, co powoduje pewien brak orientacji nie tylko u sprawozdawcy, ale i u samej młodzieży. Dziela się te czasopisma na dwa typy: czasopisma organizacji politycznych i czasopisma kulturalno-oświatowe. „Walka Młodych” jest chyba najwyżej redagowanym tygodnikiem pierwszego typu, „Jutro” nie zawsze we właściwy sposób reprezentuje drugi rodzaj. Dużo tu wszędzie polityki, dużo rozrywki, dużo ilustracji i dużo krakowskiego poety **Adama Włodka**. Należy tu również zarejestrować wskrzeszoną pod red. **Mieczysława Grada** „Młodą Myśl Ludową”, centralny miesięcznik Młodzieży Wiejskiej „Wici”, pismo ideologiczne, drukujące takie artykuły jak „Próba charakterystyki światopoglądu ludowego” (**L. Kut**) i „Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego” (**S. Milkowski**; charakterystyczna zbieżność: również „Wieś” rozpoczęła na temat agraryzmu druk cyklu artykułów **J. A. Króla**).

Nowym rodzajem czasopism młodzieżowych są wydawane przez Wójewódzkie Domy Kultury czasopisma świetlicowe. Jest ich trzy: miesięcznik warszawski „Świetlica”, dwutygodnik krakowski „Świetlica Krakowska” i dwutygodnik lubelski „Światło”. Wydawnictwu krakowskiemu można by wytknąć przeładowanie materiałem czysto politycznym i czysto literackim nie najpierwszego gatunku; natomiast pozytywny jest w nim dział „Inscenizacji, tańców i piosenek”, wypełniony obrazkami i montażami scenicznymi, tak pożądanymi w pracy świetlicowej. Najciekawiej z tych wydawnictw przedstawia się bezsprzecznie „Światło” (red.: **Jacek Bocheński**). Niewątpliwie, nie jest to pismo czysto świetlicowe czyli popularizacyjne i upowszechniające kulturę. Ambicje „Światła” idą tak daleko, że sięgają aż po fragment powieści Erenburga „Upadek ParYZa”. Ale jest to dobre czasopismo, mimo nieokreślonego zasięgu (trochę „Zdrój”, trochę „Wieś”, trochę „Kamena”), są tu artykuły polityczne i informacyjno-naukowe, są także i świetlicowe. W ostatnim (11) numerze postarała się redakcja o rozważania **Stefana Żółkiewskiego** „Czy polityka polska docenia rolę oświaty i nauczyciela?” („bilans prac dokonanych... pozwala na optymizm”). Trafił się nawet w „Świecie” artykuł prof. **T. Tomaszewskiego** „O duchach, mediach i tajemniczych zdolnościach”, z którym wdał się w polemikę **Ludwik Szczepański**, znany krakowski badacz „ezoteryków”. Bywały okresy, że mediumizmem, spirytyzmem itp. — albo, mówiąc uczennie, parapsychologią i metapsychiką — zajmowały się szerokie koła wyznawców i różni łatwowierni profesorowie. Potem moda minęła. Gdyby miała powrócić — byłby to znakomity dowód uspokojenia się temperamentów.

Wśród pism młodzieżowych odrębne, tak ambicjami jak osiągnięciami, miejsce zajmuje „Młoda Rzeczpospolita” („Czytelnik”, Kraków, red.: **Stanisław Witold Balicki**). Chce ona być zarówno młodzieżowym „Odrodzeniem” jak i rodzajem młodzieżowego „Dziennika Polskiego”, chce jak „Przekrój” bawić obrazkami i figlami a zarazem wychowywać, organizować, kształcić. Nie od razu i nie wszystko może się udać. Ale tygodnik jest redagowany żywo, z widoczną troskliwością o poziom i wielostronność. Oczywiście, można by się „czepić” jakiegos nieudatego, ale przebieg, wytknąć taki czy inny błąd; ale przecież nie to jest ważne, czy redakcja potknęła się na którejś tam stronie w którymś wierszu, lecz czy wypełnia choć część zadań, które wzięła na siebie. Otóż pod tym względem sąd o dotychczasowych sześciu numerach „Młodej Rzeczpospolitej” musi wypaść dodatnio.

Czasopismo od razu wciągnęło młodzież do aktywnej współpracy, oddając jej głos w ankiecie „Jak chcemy budować Polskę na Ziemiach Odzyskanych”, drukując na przemian utwory (także rymowane) starszej młodzieży obok utworów młodszych profesorów, dziennikarzy i literatów. Dużo sportu, humoru, filatelistyki, ilustracji, konkursów — zachęcać ma roztrzępanego czytelnika i związać go z pismem. Bardzo pomysłowo prowadzona jest rubryka „W 7 dni dookoła świata”, wybory był (w numerze 6) **Zbigniewa Grotowskiego** „Nadajemy reportaż z Bikini”, wzór zręcznej roboty dziennikarskiej, nie brak nawet kroniki politycznej. Może sobie Przybóś polemizować w „Odrodzeniu” z **Tadeuszem Dobrowolskim**, ale gdy autor ten drukuje w „Młodej Rzeczpospolitej” „Uwagi o pięknie”, spełnia bardzo cenną rolę pedagogiczną. Wreszcie „Młoda Rzeczpospolita” zamieszcza dwie powieści, niestety przedruki; ale może na zarzuty zechce odpowiedzieć niemożliwym przysłówkiem „lepszy rydz niż nic”...

Powszechnie wiadomo, jak trudny jest teren młodzieżowy, jak bardzo oporna bywa młodzież, poddana wpływom domu, atmosfery uniwersyteckiej a nieraz i własnej szkółki. Jeżeli w tych warunkach „Młoda Rzeczpospolita” dociera do szerokich kół, połowa zadania już jest spełniona. Istotą sprawy młodzieżowej w jej chwili obecnej

odslania pismo w surowej diagnozie **Ericha Kästnera** o młodzieży niemieckiej (nr. 5): w niejednym szczególe — nie ma się co ludzi — okazuje się ona trafna i w stosunku do polskiej młodzieży.

„Młoda Rzeczpospolita” jest przede wszystkim tygodnikiem aktualności i nimi „bierze” swoich czytelników. Wydawany przez TUR miesięcznik „Wiedza i Życie” ma mieć charakter popularizacyjny-naukowy. Wątpię jednak czy dociera do wszystkich, dla których jest przeznaczony, czy niektóre prace w nim zamieszczone nie są zbyt trudne? Uwaga ta w każdym razie nie dotyczy **J. St. Bystronia**, drukującego w „Wiedzy i Życiu” nowy fragment swej kompilacyjnej książki o Warszawie; ani **Arkadiusza Piekary**, który z właściwym sobie talentem uprzystępniania informuje o tak skądinąd trudnym temacie jak badania **Nielsa Bohra**.

Jednym z najpowszechniej pod względem wydawniczym odbudowujących się działów życia kulturalnego jest — rzecz dość niezrozumiała — turystyka, która przed wojną należała wydawniczo do najlepiej i najbogaciej obsłużonych. Z przedwojennych wydawnictw turystycznych zostało dotychczas wskrzeszone tylko jedno: zasłużony miesięcznik „Ziemia” (Warszawa, organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, red. **Stan. Lenartowicz**). W dwu dotychczasowych zeszytach ogłosiła „Ziemia” wiele interesującego materiału, zwłaszcza kronikarskiego, dotyczącego dzi-

sięszego stanu zagospodarowania turystycznego Polski, nowych terenów turystycznych na Ziemiach Odzyskanych itp. Zniszczenia, zwłaszcza w terenach górskich, są wszędzie ogromne. Większość z nich przypada na okres szabru ze strony ludności miejscowej lub — w Tatrach — zle zorganizowanego kwaterynkowego w 1945 r.

Przed turystyką polską stoi, jako najważniejsze, zadanie upowszechnienia turystyki i zerwania z przedwojennymi zasadami elitaryzmu. W „Ziemie” poświęca tym problemom artykuł **Stanisław Lenartowicz**. Rzecz w tym, że upowszechnianie musi postępować równoległe do uświadamiania w sprawach społecznej i kulturalnej roli turystyki i nie może, jak to się często dotychczas dzieje, być propagowane mechanicznie. „Ziemia” wyraża ideologię krajoznawczą, zagadnienie masowości jest dla niej centralne. Nieco inaczej przedstawia się problem turystyki górskiej, gdzie regulatorem były dawniej koszty z jej uprawianiem związane, a dziś są nie tylko koszty (przy dobrej woli dałoby się je zwalczyć), lecz również utrudnienia obiektywne i względ na ochronę przyrody. Zagadnienie ochrony przyrody, sięgające głęboko w sferę kultury, znajdowało się przed wojną w ogniu gorącej dyskusji, w której i pisarze głos zabierali. Spór o budowę kolejki na Kasprowy był najdłuższą i najgorętszą pozapolityczną dyskusją w Polsce międzywojennej. Nie ulega kwestii, że idea turystyki jest związana najściślej z za-

chowaniem pierwotnego — lepiej powiedzieć naturalnego — charakteru zwiedzanych obiektów, czy to będzie kościół gotycki czy szczyt górski. Schronisko w dolinie górskiej to jak światło elektryczne w średniowiecznym tunelu: ostatnia dopuszczalna granica ingerencji człowieka. O tym nie zawsze się chce pamiętać i dlatego zadania powołanej przez państwo do pieczy nad ochroną przyrody Państwowej Rady Ochrony Przyrody zawsze były trudne i delikatne, mając do przełamania wiele oporów, wiele mylnych sądów i niesłusznych zarzutów; tym bardziej są one trudne obecnie, w okresie powojennym, gdy zniszczenie przyrody (zwłaszcza w zakresie zwierzo- stanu i lasów) jest potworne. Słynnym z fanatyzmu ochroniarzom nie opadają jednak ręce, a sprawozdania ze swoich wysiłków, porażek i osiągnięć — także studiów teoretycznych — publikują w periodyku o treści głoszonej pod niebryt zgrabnym nagłówkiem „Chrońmy Przyrodę Ojczystą”. Dotychczas wyszły cztery zeszyty tego czasopisma, na 288 stronach (łącznie), dające dokładny przegląd spraw ochroniarskich ujętych zarówno z praktycznego jak i z naukowego punktu widzenia. Charakter naukowy mają m. in. prace prof. **Adama Wodźicki** („O uprawie krajoobrazu”, „Ochrona przyrody jako nauka i jej potrzeby”) i **M. Klimaszewskiego** („O przyrodzie Karkonoszy”); praktyczne — obszerne, nie zawsze pocieszające relacje z Karkonoszy, Białowiesi, Pienin, Pustyni Błędowskiej itd. Niezmiernie interesujący jest źródłowy artykuł **Jana Reychmana** o „Udziale górali w ochronie Tatr w XIX wieku”; to pewne, że ochrona przyrody będzie wówczas tylko naprawdę skuteczna, gdy zainteresuje się nią i przekona się do niej ludność miejscowa.

„Chrońmy Przyrodę Ojczystą” jest robione przez uniwersyteckich teoretyków krakowskich, nie zamyka jednak oczu na dzisiejszość. Praca konserwatora **Bogdana Tretera** (†) dotyczy problemu „Reformy rolnej z punktu widzenia ochrony przyrody”. Jakikolwiek by był mniemanie o stratach kulturalnych wynikłych z szybkości przeprowadzenia reformy (np. wycinanie cennych parków podworskich) — autor zajął stanowisko, że sprzeczność pomiędzy ideą ochrony przyrody a wymogami racjonalnego postępu jest tylko pozorna. Podzielamy ten pogląd. Ochrona przyrody nie jest idea reakcyjna, chociaż wyznają ją czasem reakcyjniści. Przeciwnie, właśnie w okresie „masowienia” turystyki uwydatnia swą demokratyczną rolę.

Tymi problemami zajmuje się dr **Włodzimierz Marcinkowski** („Turystyka demokratyczna”, „Idea ochrony przyrody — idea postępu społecznego”). Ma on zupełną rację, gdy zwalcza tzw. „turystykę ułatwioną”. Kolejka na Kasprowy jest — to nie paradoks! — ze społecznego punktu widzenia raczej szkodliwa, choć pozornie umożliwia szerokim masom łatwy i szybki dostęp w głąb gór. Istotą bowiem wartości turystyki jest wysiłek, jest właściwy stosunek pomiędzy wysiłkiem a osiągnięciem; tylko wówczas wyniki są pozytywne. Fałszywie ujmuje jednak W. Marcinkowski ochronę przyrody jako „kontynuację rewolucyjno-romantycznej, jeszcze mglistej, bo intuicyjnej rousseau’owskiej idei powrotu do natury”, przeciwstawiając ją „kapitalistycznemu, czysto materialistycznemu podejściu do przyrody”. Okres romantyczny w ochronie przyrody — okres starego J. G. Pawlikowskiego — dawno już minął i jego romantyzm kończą się jeszcze chyba tylko w głowach niektórych starych panów, wyruszających na wycieczkę w pelerynie i z „alpensztokiem”. Nowoczesna ochrona przyrody to trzeźwy — właśnie materialistyczny — program ocalenia przyrody w jej stanie niepokazitelnym. — Po co? Ponieważ przeciwwilozowana traci swą wartość jako źródło wzruszeń społecznie cennych. Siłownie domagamy się (autor pisze: „masy pracujące”) „jak najszybszego utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego”, ale nie po to, by Tatry zamienić w rezerwat dostępny tylko wtaśnienicznym, lecz by uprzystępnienie móc obwarować taką czujnością, która by wszelkie wyrządzenie szkód przyrodzie wykluczała. Nie wydaje się też potrzebne ani rozsądne układanie — jak to czyni dr Marcinkowski — drabiny praw do gór, że niby największe prawa mają uczeni i artyści a po nich młodzież; takie cenzurowanie nikomu nie przynosi pożytku, a może niejedną wyrządzić szkodę.

Przy ruchliwości ochroniarzy i turystów nizinnych, niemiłe uderza opieszałość turystów górskich, którzy przed równo 70 laty zapoczątkowali czasopiśmiennictwo turystyczne w Polsce i stanowili zawsze awangardę turystyki. Trudno bowiem za należyte spełnianie zadań uważać wydawanie jakichś biuletynów informacyjnych na powielaczach, nawet jeśli zawierają cenny materiał, docierają tylko do rąk nielicznych. Ta ospałość jest tym bardziej dziwna, że właśnie turyści górscy — o czym wie niewiele — zdobyli się w okresie okupacji na tajne czasopismo turystyczne (kontynuację dwumiesięcznika „Taternik”), jedyne polskie czasopismo turystyczne w okresie 1939—45. Czemuż więc obecnie nie wychodzi ani „Taternik” ani „Wierchy”?

Z teki dr Prota Sowizdrzała Młot na syreny

Po rozprawieniu się z gusłami, czarami, wiedźmami, strzygami i innym pomiotem czartowskim wieków grubej ciemnoty, wzięło się Oświecenie także za lżejszą i wdzięczniejszą kohortę istot zmyślonych: za nimfy, rusalki, niksy, ondyny i syreny. To płocze gro- no mitologicznych stworzeń, występujących dotąd z powodzeniem w klasycznych operowych spektaklach, miało niebawem powieści, barwnie i tajemniczo zapełnić utwory romantyczne.

Polsce to jeszcze na razie w większych rozmiarach nie groziło. Był rok pański 1806. Mickiewicz jeszcze w nowogrodzkim powieście baki zbijał, a Słowackiego w ogóle na świecie nie było. Jeśli tedy imię Onufry Markiewicz wystąpi na łamach „Dziennika Wileńskiego” z młotem na syreny, to miał na uwadze przede wszystkim pana Robineta, uczonego francuskiego, który z dużą werwą poetycką rozwijał pomysły ewolucyjne, pojawiające się w wieku osiemnastym w dziedzinie nauk przyrodniczych. Też Robineta była ciągłość ewolucyjna od stworzenia do stworzenia. Natura nie przechowała ogniu pośrednich między człowiekiem a jakimś najwyższym zwierzęciem. Od czegoż jest jednak poezja i filozofia? Zagadnienie istot pośrednich rozwiązała intuicja nie mitologia, stwarzając harpie, centaury, satyry, trytony i syreny. Robinet nadał tym uroczym marzeniom kształty logiczno-przyrodnicze w swoim dziele „Pogląd filozoficzny na stopniowanie form bytu w przyrodzie” i w ten sposób zabił baśń. Prysnęła tęczowa bania — jej miejsce zajęła zwyczajna banialuka.

Trzeźwi pseudoklasyści chcąc uderzyć w naukowe fantazje przyrodnika bili z konieczności w mitologię, godzili w smukłe, białe nimfy i śpiewające kuszące syreny. Żeby jednak wyśmiać zmyślenia i bajędy, trzeba było pójść w tropy za Robinetem i pogrzebać w księgach dziwów zamorskich, jakimi po wsze czasy były i będą opowieści podróżnicze. Egzotyzm wyobraźni jest zależny od stopnia szerokości geograficznej. Wykres baśni jest prosty: dwa zwrotniki i trochę południków. Z diatryby Onufrego Markiewicza, umieszczonej w organie profesorów uniwersytetu wileńskiego, dowiedzieli się domorośli, pilni czytelnicy „Nowych Aten” różnych ciekawych rzeczy:

„W historii powszechnej wojażów umieszczono, że w roku 1560 blisko wyspy Manar, w Indiach, rybacy sieciami złapali siedmiu mężczyzn i dziewięć kobiet morskich. Lekarz czynił rozbiór ich anatomiczny i znalazł części wewnętrzne i zewnętrzne podobne częściom ludzkim.

Kapitan okrętu Schmidt w roku 1614 w nowej Anglii widział na morzu syrenę cudownej piękności, której część dolna od pepa podobna była ogonowi ryby”. („Dziennik Wileński”, 1806, luty, str. 192—3).

Dalej dowiadujemy się, że w 1670 roku widziano „kobietę morską” w Kopenhadze. Najbardziej ciekawą historią nosi jednak stempel paryski i to dość świeży, jak na czytelnika z roku 1806:

„W roku 1758 w Paryżu na rynku S. Germana okazywano kobietę morską, którą w naczyniu napełnionym wodą trzymano. Pan Gautier widział ją i odmalował, miała dwie stopy wzrostu, poglądała z ciekawością i żywym wzruszeniem na mężczyzn (proszę. pro-

szę... przypisek dra Sowizdrzała), skórę miała w dotykaniu grubą, głowę gołą, oprócz tyłu ku karkowi, gdzie na kształt łuski była pokryta; uszy długie i szerokie, twarz nadto szpetna, ręka prawa zle ukształcona i dlatego lewą w potrzebie używała; piersi szerokie, wielkie, pełne i okrągłe; clitoris długości pół palca; część dolna kończyła się na rybem ogonie łuska pokrytym” (tamże, str. 193—4).

Czytamy następnie list z Martyniki, pisany do Akademika Sorbońskiego, o człowieku morskim z ogonem. Kapitan okrętu sporządził protokół w obecności panów oficjeryów: „Świadkowie oddzielnie pytani byli i zaprzysięgli widzenie swoje. Lecz na pytania, jeśli ramiona były proporcjonalne do ciała? jeśli palce u rąk były zrosłe? jeśli miał skrzela? — świadkowie na to nie byli baczni i zaspokość ciekawość nie mogli. Z dwóch Francuzów i czterech Murzynów, jeden Francuz umiał pisać i czytać, względem ogona nie wszyscy zgadzali się” (tamże, str. 195).

Wreszcie autor kończy dziwy znaną figurą poetycką: „Mijam dalsze opisy ludzi morskich jako to: męczczyzn złapanego w roku 1737 blisko Exeter w Anglii oraz w historii portugalskiej i relacjach Indii wschodnich przez Telliamedę, złowienie wielu ludzi morskich, których Królowi wówczas panującemu Don-Emmanuel chciało okazać, lecz ledwo jedną kobietę i dziewczynę doprowadzono, z którymi Król się bawił” (tamże, str. 195—6).

Okazuje się, że wcale nie trudno odobrać syrenę przy odrobinie racjonalizmu: „Dalej mniemanie posuwając zdaje się, że Syreny były to śpiewaczki z podlegszego łłoku, nocną porą święto Syriusza obchożące, a te nierządnym życiem pożerały własność i zdrowie uwiedzionych. Jeśli one śpiewaczkami Syriusza były, wielkie jest podobieństwo ich nierządu, ponieważ ta gwiazda inaczej psem nazwana była. Starożytność wszystko pod allegoriami wyrażała. Zjedzenie Akteona przez psów nie co innego znaczyło, jak strata własności i zdrowia na polowaniu i utrzymywanie psów; pożarcie Syren za przywabieniem mogło równie znaczyć odebranie zdrowia i życia nadużyta rozkosz” (tamże, str. 191).

Mitologia oddawała nieprzewidziane usługi pierwszym utopijnym ewolucjonistom, zatem uderzono w mitologię. Ewolucja sprzyjała znienawidzonemu zabobonowi, więc nóż przykrócił jej zapędów. Przycinano tedy Bufonowi, że przesadza w opisie brzydoty Hotentotów a przecenia urodę orangutanów — w celu zbliżenia gatunków! Ewolucja posługiwała się pojęciem stopniowania, gradacji międzyosobniczej i międzygatunkowej, więc wypadało i tę zasadę podważyć. Człowiek z ogonem? Ależ każdy z nas ma kość ogonową! Kobiety mają tę kość nawet dłuższą niż mężczyźni! — odpowiada racjonalista.

Różnica między jakimś małpoludem a Europejczykiem? między kobietą zwyczajną, ziemską a „kobietą morską”? To też przesada ewolucjonistyczna! „Odebrać naszym kobietom pobiły, różę, przesadne pokrycia twarzy, zwrotność wysiloną, drażliwy układ ciała i dalsze przydatki czy i zmysły mamiące, nie wiem, czy by jakie wdzięki piękność stanowiące zostały się?” — zastanawia się z powagą Onufry Markiewicz (tamże, str. 309).

podał do druku Sigma

jaszcz

DUCHY POETÓW PODSŁUCHANE

LEOPOLD STAFF

Słońce i drzewa

Runią baranków w szmaragd farbowaną
Drzewa majowe ku niebu się patrza,
W ptaków alfabet osnuło się rano
Darząc przechodnia radością najrzadszą.

Słotem wyrwany ten dzień bujnej wiosny,
By podziw w drzewa, jak w księgę, się wczytał.
Aż słońce, piękności tych bankier zazdrosny,
O zmierzchu wycofa swój złoty kapitał.

JULIAN TUWIM

W kawiarence

Siedzieć w kawiarni,
w swojej parafii
nad kieliszeczkiem
wonnej ratafii.

Innym Europa,
innym podróże,
a mnie: w krzeselku.
na ciepłej skórze.

Innym wielkości,
innym zaszczyty,
a mnie — kieliszek
rankiem wypity.

Przed moją szybką
przejdzie dziewczynka:
okiem ją zmacam,
zostanie ślinka.

Niech innym użyć
ho mnie: w parafii
ten kieliszek
wonnej ratafii.

CZESŁAW MIŁOSZ

W pogardzie

Wy coście chwałę pogardliwych rzeczy
Śpiewali i pył brzoskwiniom starty
Wcierali w policzki zarozumiałych astronomów,
Czyniąc róż tym sposobem,
Wy zasklepieni w oblędzie czekania
Na wołania doczesnych anten.
Gdy wilgi wokół sprawiają majowe śpiewanie —
Wy mężowie narodu, co zawsze przelamany
Na przeszłość swoją i los niewiadomy,
Podobni błaznom w togach konsularnych
Na gruzach waszych katedr
Czekam na dzień ocalenia.
Nie ufam, by z zawiści, zła i hańby
Dzień nadszedł dla was, niegodnych mojego ocalenia,
Które wam przyniosę z obłoków niestartych
Waszym spojrzaniem, z dni niedotkniętych
Waszą małością, co z wodą godzicie wodę,
Z ogniem ogień, a z sianem siano,
Wy z narodu, co drwa wciąż do lasów nosi,
Chociaż tych lasów miał wiele.
Lecz stracił.

Podobny sowie mądrej Ateny
Nie może być wasz poeta. Puszczykiem
Mu każą być narodowe Dziady.
Przeklinam tych, co pył brzoskwini
Wcierają w zawiędłe policzki astronomów.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Przyrzeczenie

Gdy słuch mój się stanie bieżącym czekaniem
A palce zwiędną pozbywszy dotyku,
Gdy wzrok mój okiem być swoim przestanie,
A gardło z powietrza już nie wyda krzyku.

Gdy kamień w wodzie już nie będzie u dna,
Lecz liściami spłynie i mgłą się podniesie,
Kiedy nie będzie ranka ni południa,
Gdy, co wiadome, będzie co nie wie się —

Wtedy czekaniem, co nigdy nie znuży,
Krzykiem, co odtąd z gardła nie wytryśnie,
Czasem, co nie trwać będzie krócej ani dłużej
Nad tobą na wieczność pamięć ma zawiśnie.

podśłuchuje Kazimierz Wyka

KONSTANTY ILDEFONS GALCZYŃSKI

Serwus, cherubin

Wlewałem wczoraj sznapsa w gardziołek.
a z filiżanki żabi rosolek.
On mi powiada — niczym karp lubin,
wódę tak łykasz — serwus, cherubin!

Czekałem jeszcze na mą złością,
pod mostem Wilia pachnęła czystą,
on palcem psztyka w nosała rubin,
pod ramię bierze — serwus, cherubin!

Potem przyjaciół sprosiłem wielu,
iżby być chcieli na mym weselu —
więc toast wznosim w dzień mych zaślubin,
pięścieniem w kielich — serwus, cherubin!

Czytam Heinego, czytam Dickensa,
iżami jak rosą cieknie mi rzęsa,
a on mi na to: wiesz, że się lubim,
do serca ciśnie — serwus, cherubin!

Zgroza smorgońska! Tatarskie dziwy!
Skąd tutaj w Wilnie cherub szczęśliwy?
Co za cherubin? Pijak cherubin?
Posłuchaj dalej, sensu nie zgubisz!

Przybrałem kiedyś rybackie buty
(podeszwy były w gwiazdy podkute),
po krętej drodze mlecznej, niebieskiej,
idę do Panny Dobrej, Anielskiej.

Idę pijany, idę pijany,
od ściany tarzam się aż do ściany,
prosto na tronu mierzam podnózek,
gdzie widać pannie kawalek nówek.

Aż mnie tam poznał jeden cherubin
i wrzasnął: ten to, co się zagubił
i co wyleciał kiedyś przez chmury
(bo w niebie także hywają dziury).

Więc ustął w niebie straszny niepokój
i już nie było aniołów tłoku,
zaś zaprzągnęli mi dwa taranty,
jedzie Ildefons, jedzie Konstanty.

Na radość w puzon dmą aniołkowie,
tany przede mną tną serafowie,
wszystkie się święte radują franty:
znalazi się Fonsio, znalazł Konstanty.

KRONIKA FILMOWA

„Pewnej nocy“, film produkcji sowieckiej.

Widzę na podstawie dotychczasowego doświadczenia — jako widz i krytyk — że traktowanie wojny jako tematu może mieć dwa aspekty. Albo kładzie się nacisk na jej ogólny, reportażowy ujęty charakter, albo wybiera się losy jednostkowe z wojny jako całości — i wówczas będzie mowa o człowieku takim, jakim mógłby być i poza nią, w innym ze społeczeństwa warunków. Przy sposobności omawiania filmu pt. „Pewnej nocy...“ zajmę się bliżej tym drugim rodzajem wyrazu artystycznego, zbliżonym jeśli chodzi o szukanie odpowiednika literackiego — do metody pisarskiej Conrada czy Kafki. Co przede wszystkim uderza w obrazowaniu tego typu?

Powiedziałbym od razu: „przerzedzenie“ tła. Wybiera się kilka postaci centralnych, na nich skupia się uwagę, z nimi błądzi reflektor. Losy tych wybranych ludzi są ze sobą ciasno powiątane. Dramat wygrzewa się w ich wzajemnym na siebie oddziaływaniu. Konflikt musi się między nimi tylko rozstrzygnąć. Powiedziałbym, że te postaci nie mają sznurków, które by je wiązały z czymś, co jest na zewnątrz głównego teatru. Tło, wbrew doświadczeniu życiowemu, jest bezimienne i bez twarzy, tak jakby pragmatyzm ludzkiego losu nie dopuszczał tu przyczyn spoza zakłętego kręgu. Czy to nie musi uderzyć widzów takiego spektaklu jak film „Pewnej nocy“?...

Jest wojna, jest zburzone miasteczko rosyjskie, w którego gruzach płata się kilkoro ludzi, jest wojskowa okupacja niemiecka bez masówek — tak samo kilka osób — są raz tylko dopuszczeni statysty, obywatela miasteczka zebani w cyrku dla wysłuchania mowy propagandowej — i to pochowani w cieniu, bez twarzy i bez imienia. Podobny klimat psychiczny mamy w „Wyciastwie“ i „Ocaleniu“ Conrada, albo w „Procesie“ Kafki. Realizatorzy filmu wybrali te warunki rozrzedzenia tła, nieukazywania perspektyw, która nigdy nie przekracza 50 metrów (z wyjątkiem nieorganicznie związanego zakończenia), by z tej gatunkowo teatralnej sceny wydobyć maksimum ekspresji; i to im się udało.

Rosyjska dziewczyna, Waria jej na imię, ukrywa na strychu zburzonego w połowie domu lotników-rodaków, którzy skapotowali w locie na zaplecze wroga, i ranni pozostają pod jej opieką. Niemcy weszła za resztkami wojska sowieckiego, wiedzą coś o lotnikach, wywierają presję na ludność, by wydawała ukrywanych jeszcze żołnierzy. Front ludności jest jednak jednolity z wyjątkiem jednego usłużnego Niemcom fатыganta. Nawet starszek-inspektor, który ma w cyrku wygłosić przemówienie zachęcające do uległości, okazuje się bohaterem, w połowie mowy zmienia kurs, by zagrozić do wytrwania, zelży najęźdźców i ...paść od kuli Ortkommandanta; towarzyszy temu ogólna masakra wśród zebranych Waria z narażeniem życia dostarcza żywności i pielęgnuje trzech, a po wypadku śmierci — już tylko dwóch lotników. Wreszcie jednego podległego poucza o przeżyciach i wypuszcza w teren Ale jest śledzona przez niemieckiego feldwebela i ...wpada. Niemiaszek trafia za nią na strych, ginie jednak od kuli z ręki dziewczyny. Następuje poszukiwanie zaginionego, śledztwo, tropienie śladów z psem policyjnym. Niemcy odnajdują drogę na strych, po to by nie znaleźć już rosyjskiego lotnika, usunętego przez organizację, tylko samą Warię osłaniającą wejście i nieświadomą tego, że jej ofiara jest już niepotrzebna Ortkommandantem zwyczajnie usuwając ją z obrazu. Wreszcie dowodzi, że Waria jest już niepotrzebna Ortkommandantem zwyczajnie usuwając ją z obrazu. Wreszcie dowodzi, że Waria jest już niepotrzebna Ortkommandantem zwyczajnie usuwając ją z obrazu.

Ten najogólniejszy skrót treści wskazuje jak fabuła jest tutaj prosta i jakiego wygrzania atmosfery trzeba było, by trzymać widza w napięciu. Użytko jest dzięki wysokiej klasie gry. Postaci chodzą trochę na szczydach — to prawda — ale równocześnie gra ich obfituje w takie subtelności, że poza maskami typów — żywo przebiega ich prawdziwe ludzkie rdzeń. Przede wszystkim trzeba to powiedzieć o postaci Warii w kreacji J. Rudzenko. Jest to tragiczna rzadko spotykana miara, jak Liliana Gish czy Norma Sheara — a przy tym uroczą dziewczyną. Jej lotny, zwiewny krok, przominający rusalkowatym partnerki Chaplina z „Dziśszych czasów“, jej mimika zaskakująca nieoczekiwanym przebiegiem się uczuć w półskurczu, w uśmiechu, płaczu, w zakrzuszeniu się z emocji, jej śliczny akcent — pozwala mi stwierdzić, że wynalezienie takiej aktorki jest odkryciem.

Jak zostali przedstawieni Niemcy? Karykaturalnie, i w dodatku mówią po rosyjsku, więc nie ma należytego zróżnicowania obu ścierających się światów. Ale choć przez to z prawdy artystycznej wszystko już zostało stracone? Nie, w tym wypadku właśnie nie. Bo są to karykatury na miarę ujęcia Conrada. Wprawdzie oficer niemiecki ma na twarzy wypisaną inteligencję, co najwyższej sierżanta, a sierżant jest skończonym ofermą i obaj klną socyzmie po rosyjsku nie gorzej od autochtonów, ale mimo to jest w ich wewnętrznej treści coś tak zbikowatego, ich charaktery są tak intensywne w gatunku, że mamy tu do czynienia z czymś czystym w robocie charakterologicznej i absolutnym Powtarzam — ciekawe skrzyżowanie Dostojewskiego z Conradem. Film nad wyraz ciekawy, chociaż może być niepopularny ze względu na swą przylaczającą i nie pozwalającą odetchnąć atmosferę.

Marian Promiński

Z MOJEGO ZIELNIKA

WYTRWALI

„Tygodnik Powszechny“ (nr 28) nawiązując do nieśmiertelnego sporu Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem, nazywa biskupa „tylko wyrazicielem i obrońcą prawa Bożego“ i twierdzi, że „jego zdrada“ polegała na tym, że się odważył bronić tego prawa wobec króla. Dziad swoje, baba swoje. Historycy prawią o poparciu buntu juniora, o echu walk cesarstwa z papieżem, o udziale arcybiskupa Bogumiła w sądzie nad Stanisławem — dla „Tygodnika“ to tylko „prawo Boże“. Jak to pisał pewien historyk: „plemie Kadłubka“?...

UPARCI

„Tygodnik Powszechny“ (nr 27) wywodzi, że w Polsce „okupant marzył o polskim Quislingu“. Jest to tworzenie legendy, dopuszczalne u lekkomyślnego dziennikarza, ale niedopuszczalne pod piórem zawodowego historyka. Wiemy przecież dobrze, że prawda miała się akurat odwrotnie, że Hitler w jednej Polsce nie chciał żadnego „rządu“ i że mu tutaj wystarczało najzupełniej GG i gestapo. Byli natomiast w Polsce tacy faszysty, którzy istotnie marzyli o roli polskiego Quislinga: to ci, którzy ostatnio zorganizowali pogrom w Kielcach. Prosimy historyków „Tygodnika“ o łaskawe nieznieszktałenie rzeczywistości.

NIEZŁOMNI

„Tygodnik Powszechny“ (nr 25) nazywa przebywającego w Londynie adresata pewnych listów, wystosowywanych doń w drugiej połowie 1944 r., „Prezydentem Rzeczypospolitej“, w tymże numerze przywraca niesłusznie zapomnianą nazwę „Litwa kowieńska“. Pozdrowienia od „IKC“ i „Dziennika Żołnierza“.

DELIKATNI

„Tygodnik Powszechny“ (nr 25) bardzo się zdenerwował, że „Nowe Wyzwolenie“, pisząc o przeciwnościach politycznych użyciu wyrażenia „wrogi“, „Jest to wyrażenie, które powinno być wykreślone ze słownika dziennikarskiego na froncie wewnętrzny“ filozofuje, „dlatego trzeba sobie z góry wyprosić u tych panów wprowadzanie języka wojennego do dyskusyj wewnętrzno-politycznych“. Wzruszającą zaiste troską! Napadają i mordują za węgla, uprawiają najrozmaitsze rodzaje terroru, ale gdy się ich nazwie „wrogiem“ — czuła dusza po prawicy wtrąca zaraz, że to „sprzyja atmosferze wojny domowej“. Pozdrowienia z krainy obfudy.

TAK SIĘ PISZE HISTORIA

Zabawne jest śledzić wysiłki pewnych historyków i publicystów, piszących o minionej wojnie a usiłujących za wszelką cenę przedstawić hierarchię wartości w duchu swoich prywatnych upodobań. Więc przede wszystkim sprawa „najważniejszej bitwy“, od któ-



Dwa paszkwile na Kociubińską Hermenegildę

I

Kociubińska pachnie dorszem,
Kociubińska Hermenegilda —
i pisze wiersze coraz gorsze
i tych wierszy nikt nie wyda;

oczywiście, jak dobra babka
muszę ich słuchać, lecz, gdy czyta
nagle spada ze stolu karkafka
i noc staje w biegu jak wryta;

więc ją biję laską po głowie,
Kociubińską Hermenegildę.
Ona: cy psyjd zies jutro? powiedz!
Ja: ze prawdopodobnie psyjdę.

II

Kociubińska ma dwie toreбки,
a w tych torebkach kompletny chaos,
więcej! prawdziwy magiczny sklepik
bo: i „Kuznica“ i kakao

i dorsz i „Karenina Anna“
z fotografiami dziewczyn z Bali,
złótki wycinek ze „Skamandra“,
„że nie będziemy drukowali“;

okładki jakichś książek „Roju“,
cztery obrazki prawie święte,
muszla, „Zielona Gęś“ z „Przekroju“
popodkreślana atramentem,

dwie gumy „z myszką“, dwa ramiączka,
próbka tapety tajemnicza,
list Osmańczyka, autograf Wionczka
i wielki portret Turowicza.

Więc ją biję laską po głowie,
Kociubińską Hermenegildę.
Ona: cy psyjd zies jutro? powiedz!
Ja: ze prawdopodobnie psyjdę.

K. I. GALCZYŃSKI

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE PLAGIATU
Do redaktora „Odrodzenia“

W numerze czerwcowym miesięcznika Ligi Morskiej „Morze“ ukazał się utwór poetycki, podpisany przez Jerzego Milewicza. Utwór ten jest prawie dosłownym plagiatem mojego „Poematu tłumaczonego z obcego języka“, wydrukowanego w piątym numerze „Twórczości“ z grudnia 1945 r. Żeby nie być gołosłownym, podaję początki mojego wiersza oraz utworu, zamieszczonego w „Morzu“.

Witold Wirpsza:
„Odbiłem się pluskiem od przystani. Nocą —
człono wydawało mi się odpryskiem rośliny, li-
ściem, lub płatem kory,
A port zamykały przede mną łamacze fal, jak
druciane ramiona, zakończone pięściami światła.
Otwór pomiędzy nimi wyznaczał mi drogę na
wprost — tunel sklepiony krągło gwiazdami.
Cisza po każdym uderzeniu wioseł rysowała jego
ściany boczne.“

Jerzy Milewicz:
„Odpłynąłem z pluskiem od nabrzeża. Nocą —
człono wydawało mi się olbrzymim liściem palmy
lub pnem czarnym.
Port kończy się wybiegłym falochronem, jak ra-
mieniem kamiennym, którego dłoń trzymała zapa-
loną znicz.“

Wejście do portu wyznaczało mi mą drogę —
w przestrzeni ciemnej, ozdobionej w krag gwiazda-
mi i bładą, pochmurną poświatą księżyca.
Fala, po każdym pociągnięciu wiosłem rozcho-
dząc się, szeleściła u falochronu.“

W ten sposób został przerobiony cały mój wiersz,
strofka po strofko, werseł po wersecie. Do uczucia
obrzydzenia, którego doznałem, ujrzawszy mój
wiersz pod obcym nazwiskiem, dołączyło się obu-
rzenie na widok zmian tekstu; dokonanych przez
nieudolnego plagiatora.

Nasuwa się tu problem zasadniczy: jaka jest
w tych okolicznościach odpowiedzialność redakcji.
„Morze“, to pismo poważne, organ wielkiej orga-
nizacji, redagowany przez tak zastężoną literatkę,
jaką jest p. Wanda Melcer. Z chwilą, gdy pismo
poświęcone zagadnieniom specjalnym prowadzi
dział literacki, na czele tego działu powinien stać
ktoś orientujący się na tyle w sprawach literat-
by mógł dać gwarancję uniknięcia jawnego skan-
dalu. Ze strony redakcji „Morza“ oczekuję pu-
blicznego wyjaśnienia.

Nie wiem, czy Jerzy Milewicz jest członkiem
Związku Literatów. Jeżeli nim jest, to Związek
wyciągnie niewątpliwie konsekwencje z tej spra-
wy.

jaszcz

Witold Wirpsza (Kraków)